ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

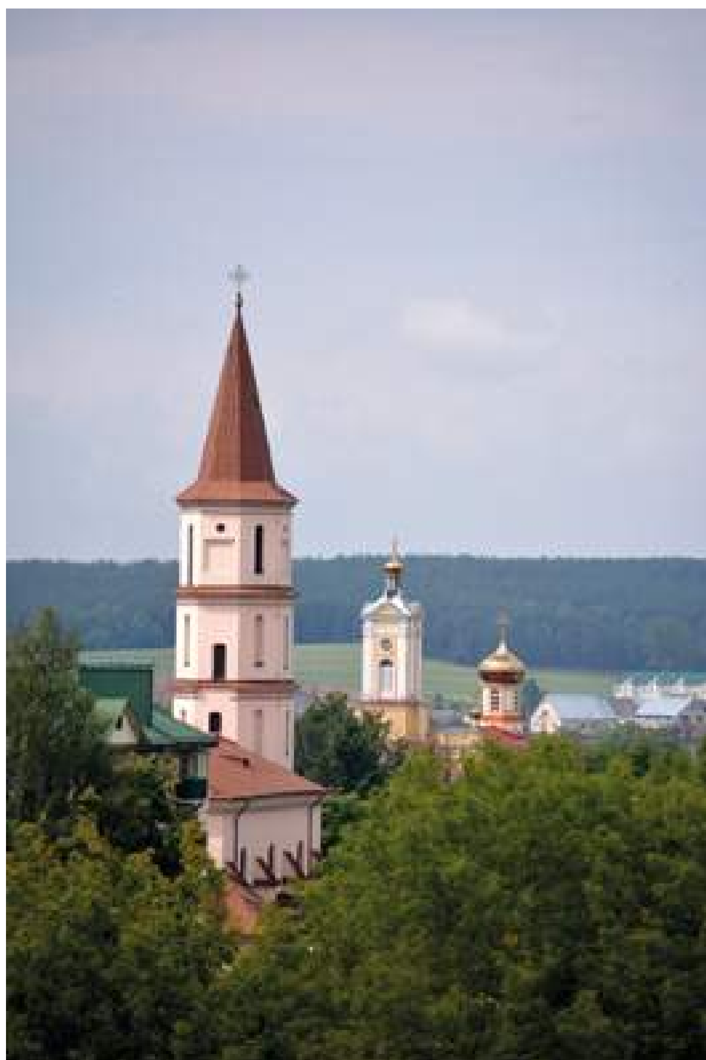
№ 3(55)2017 KWARTALNIK POLAKÓW NA POLESIU

KOMANDOR FLOTYLLI PIŃSKIEJ

Witold Zajączkowski

ZWIĄZEK OBROŃCÓW WOLNOŚCI NA POLESIU

Natalia Zarzycka ps. "Sfinks"



Kościół katolicki w Różanie pod wezwaniem Świętej Trójcy

UROCZYSTOŚCI Z OKAZJI JUBILEUSZU 400-LECIA PARAFII PW. ŚWIĘTEJ TRÓJCY W RÓŻANIE

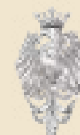
Dnia 17 czerwca br. mury różańskiej świątyni – parafialnego kościoła pw. Trójcy Świętej zostały po brzegi wypełnione przez wiernych, którzy przyjechali do Różany także z okolicznych miejscowości na uroczystości z okazji z jubileuszu 400-lecia parafii (str. 8)

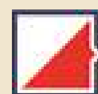
SPIS TREŚCI

'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 - 56
e-mail: klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
Kom. z RB MTS (33) 672 19 37
Kom. z RP 0-037533 672 19 37

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz
Projekt jest realizowany we współpracy z Fundacją Wolność i Demokracja i współfinansowany ze środków otrzymanych z Senatu Rzeczypospolitej Polskiej w ramach konkursu na realizację zadania «Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2017 r.»





Adres korespondencyjny:
Eugeniusz Lickiewicz
Skr. poczt. 63
Plac Wolności 9
Biała Podlaska 1, 21-500

Skład i łamanie:
Olga Brazińska

Korekta
Jan Wasylczuk


Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia

Foto na okładce – Eugeniusz Lickiewicz



SZKOŁA TO MIEJSCE ODKRYWANIA ŚWIATA...

26 maja 2017 roku odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego Polskiej Szkoły Społecznej im. I.Domeyki w Brześciu. Jak stało się już dobrą tradycją, nauczyciele i uczniowie zgromadzili się w tym dniu na dziedzińcu Konsulatu Generalnego RP w Brześciu. W Szkole obecnie poznaje język polski i kulturę 720 uczniów, uczy 25 nauczycieli. Oprócz języka polskiego, uczniowie uczą się też przedmiotów ojczystych: historii, geografii, kultury, tradycji. Jak powiedziała we wstępnym słowie Alina Jaroszewicz, założycielka Szkoły, prezes brzeskiego obwodowego oddziału Związku Polaków na Białorusi: «Szkoła to nie tylko miejsce pracy i nauki, ale i objaśniania i odkrywania świata, budowania wspólnoty, kształtowania wartościowych postaw, rozwijania zainteresowań i pasji. To nauczycielowi często zawdzięczamy fascynację wiedzą, wskazywanie drogi, zachętę do podążania za marzeniami. Dziękujemy nauczycielom za zaangażowanie i serce, którymi udowadniają, że są najcenniejszym atutem polskiej oświaty na Białorusi». Alina Jaroszewicz podziękowała uczniom za owocną pracę, za wielkie poświęcenie, gdyż wielu uczniów dojeżdżało na zajęcia w każdą pogodę, po 6-7 godzinach w szkole średniej, z dalekich osiedli, a nawet z okolicznych wsi, z Kobrynia, Kamieńca, Żabinki i innych miejscowości. Wyraziła uznanie rodzicom za wspieranie dzieci na drodze zdobywania wiedzy i umiejętności. Alina Jaroszewicz i zastępca dyrektora Szkoły Alina Krasnowska wręczyły uczniom 160 dyplomów, podziękowań i wyróżnień. Specjalne dyplomy otrzymały uczennice Krystyna Seliwonik i Elżbieta Miniuk, które zajęły I i II miejsce w Ogólnokrajowym konkursie historycznym, zorganizowanym przez PMS. Alina Jaroszewicz wyraziła wdzięczność Konsulatowi RP w Brześciu za umożliwienie spotkania

na gościnnym skrawku polskiej ziemi, a także za całokształt pomocy i wsparcia PSS im. I.Domeyki oraz za pomoc oświacie polskiej w obwodzie brzeskim. Z rąk konsula generalnego Piotra Kozakiewicza i konsula Jerzego Grymanowskiego nauczyciele Szkoły otrzymali podziękowania Konsulatu RP w Brześciu.

Na uroczystym zakończeniu roku szkolnego byli obecni liczni goście honorowi, między innymi – pani Andżelika Borys, prezes Związku Polaków na Białorusi oraz Andrzej Poczobut. Na ręce pani prezes Alina Jaroszewicz złożyła podziękowanie za organizację warsztatów dla nauczycieli, za przekazanie nowych podręczników i organizację kolonii letnich dla najlepszych uczniów Polskiej Szkoły Społecznej im. I.Domeyki. Pani Andżelika Borys przekazała najmłodszym dzieciom słodkie upominki.

Na uroczystości byli obecni także przyjaciele Szkoły z Polski: Józef Szeptycki, prezes Bialskiej Izby Gospodarczej, Janusz Waldemar Zabłocki, Król Bractwa Kurkowego w Białej Podlaskiej, Stanisław Kędzierski, wieloletni dyrektor «Energopolu». Osoby te przez ćwierć wieku wspierają najcenniejsze polskie projekty i inicjatywy na Ziemi Brzeskiej, organizują dla dzieci polskich akcje świątecznej pomocy. Na to spotkanie przywieźli dla uczniów w prezencie biało-czerwone czapeczki.

Zebranych na dziedzińcu dzieci, nauczycieli i gości przywitał Piotr Kozakiewicz, konsul generalny RP w Brześciu. Powiedział o tym, że człowiek świadomy swojej tożsamości, płynącej z wiary, dziedzictwa ojców, zachowa godność, znajdzie poszanowanie u innych i będzie pełnowartościowym człowiekiem społeczeństwa, w którym wypadło mu żyć. Pan Konsul życzył uczniom zdrowych, bezpiecznych i radosnych wakacji.

Uczniowie PSS im. I.Domeyki zaprezentowali bogaty program artystyczny: wysłuchaliśmy wierszy, muzyki instrumentalnej, popularnych polskich piosenek. Tradycyjnie zakończyli program «Modlitwą Bułata Okudżawy» – «Dopóki nam ziemia kręci się». W niebo nad polskim konsulatem poleciało sto biało-czerwonych baloników... »»»


Uczniów i nauczycieli przywitał Piotr Kozakiewicz, konsul generalny RP w Brześciu







Podziękowanie Konsulatu RP w Brześciu nauczycielowi Wiktorowi Mironowowi wręczają Piotr Kozakiewicz, konsul generalny RP w Brześciu oraz Jerzy Grymanowski, konsul RP



Wyróżnienie Konsulatu RP w Brześciu dla Uczennicy Roku – Elżbiety Miniuk, laureatki licznych konkursów i olimpiad

»»» Polska Szkoła Społeczna im. I.Domeyki działa nieprzerwanie od 1988 roku, ukończyło ją ponad 6 tysięcy uczniów, z których blisko 4000 studiowało lub studiuje na wyższych polskich uczelniach. Szkoła wychowała i wyuczyła kilka pokoleń młodych Polaków i miłośników Polski. Co roku około 200 absolwentów Szkoły dostaje się na wyższe polskie uczelnie. W ciągu 29 lat nauczyciele i przyjaciele Szkoły organizowali liczne projekty edukacyjne i kulturotwórcze: olimpiady i konkursy («Historia w zwierciadle rodzinnej fotografii», Konkurs poezji Z.Kabaty, Konkurs wiedzy o Witoldzie Pileckim), letnie szkoły i półkolonie, warsztaty i plenery, dni polskiej kultury i tygodnie filmu polskiego, tournee koncertowe i akcje świątecznej pomocy. Polska Szkoła Społeczna im. I.Domeyki była organizatorem wielkich przedsięwzięć w życiu Brześcia i jego mieszkańców: pięciokrotnie Festiwalu «Brzeska jesień z polską piosenką», I Polsko-Białoruskiego Festiwalu Sztuki Współczesnej, Międzynarodowego Festiwalu im. S.Moniuszki. Szkoła była organizatorem konferencji naukowych, największa – Międzynarodowa Konferencja Naukowa z okazji 200-lecia urodzin Ignacego Domeyki. Szkoła jest organizatorem kursów metodycznych dla nauczycieli języka polskiego i przedmiotów ojczystych Brześcia i obwodu brzeskiego, jest największym ośrodkiem edukacyjnym i metodycznym na Polesiu. Jest także Szkołą Liderów, co roku prowadzi szkolenia z zarządzania projektami dla młodzieży, a także dla liderów polskich. Przy szkole działają bezpłatne kółka dla młodzieży: dziennikarskie, operatorskie, fotograficzne, teatralne. Nauczyciele Szkoły oraz polscy historycy i krajoznawcy już 13 rok wydają kwartalnik polski «Echa Polesia», zarządzają stroną internetową www.echapolesia.pl, realizują program dokumentowania śladów polskości – program historii mówionej. Szkoła od 29 lat dba o miejsca pamięci narodowej. Uczniowie i nauczyciele co roku odsłaniają nowe krzyże i tablice pamiątkowe, naprawiają zabytkowe groby. W roku ubiegłym założyli nową kwaterę 11 Żołnierzy Wyklętych.

ANNA JURKOWSKA, BRZEŚĆ


Honorowi goście


Andżelika Borys, prezes Związku Polaków na Białorusi, Piotr Kozakiewicz, konsul generalny RP w Brześciu, Alina Jaroszewicz



UROCZYSTOŚCI Z OKAZJI JUBILEUSZU 400-LECIA PARAFII PW. ŚWIĘTEJ TRÓJCY W RÓŻANIE



Dnia 17 czerwca br. mury różańskiej świątyni – parafialnego kościoła pw. Trójcy Świętej zostały po brzegi wypełnione przez wiernych, którzy przyjechali do Różany także z okolicznych miejscowości na uroczystości z okazji z jubileuszu 400-lecia parafii. Przybyli także biskupi Kazimierz Wielikosielec, Antoni Dziemianko, Aleksander Kaszkiewicz oraz Jurij Kasabucki, liczni księża z diecezji Pińskiej, Grodzieńskiej oraz przedstawiciele miejscowej władzy wykonawczej.

Centralnym punktem uroczystości stała się Msza święta z tej okazji »»»







»»» celebrowana przez ordynariusza diecezji Pińskiej biskupa Antoniego Dziemiankę. Homilię podczas Mszy św. wygłosił biskup pomocniczy Mińsko-Mohylewskiej archidiecezji Jurij Kasabucki, w której, opowiadając m.in. o historii różańskiej parafii, wiele razy nawiązywał do osoby ś.p. księdza Michała Woronieckiego CM, który po powrocie z GUŁAGU, w latach 1956-1990 sprawował tutaj posługę duszpasterską, oficjalnie – jako proboszcz parafii w Różanie, nieoficjalnie natomiast opiekował się wiernymi na rozległych terenach, poczynając od Szereszewa obok Puszczy Białowieskiej na zachodzie, aż po Słonim na wschodzie. Zawdzięczając śp. księdzu Michałowi, który był nie tylko gorliwym kapłanem, człowiekiem wszechstronnie edukowanym i uzdolnionym artystycznie, a także biorąc pod uwagę fakt, że różańska świątynia była nieprzerwanie czynna – razem to sprawiło, że Różana dla miejscowych Polaków w okresie prześladowania religii w ZSRR stała się swoistą duchową stolicą regionu. W swoim bardzo emocjonalnym i wzniosłym wystąpieniu wspominał o tym także bp Kazimierz Wielikosielec, dzieciństwo i młodość którego również były ściśle związane z kościołem w Różanie, ponieważ ks.-biskup pochodzi z odległej od Różany o ok. 50 km wioski Starowola. Obecnie, jak zaznaczył bp A. Dziemianko, poczynając od roku 1990, dla parafii pw. Św. Trójcy w Różanie oraz dla całego Kościoła na Białorusi otworzyła się nowa karta historii. Natomiast jaką ta nowa karta będzie, zapewne ocenią nasi potomkowie w przyszłości.

Po Mszy św. oraz przerwie na poczęstunek dla gości zorganizowanej na posesji kościoła wszyscy zgromadzeni na uroczystości mieli możliwość wysłuchania koncertu pod gołym niebem w wykonaniu zespołu młodzieży katolickiej «Ryby».

RED.

O historii Różany, parafii, kościoła oraz o osobie śp. ks. Michała Woronieckiego CM pisaliśmy w naszym piśmie w numerze pierwszym za rok 2013 http://kresy24.pl/wp-content/uploads/2013/04/Echa_137_2013.pdf).

Zapraszamy naszych drogich Czytelników do obejrzenia na naszej stronie internetowej także fotoreportażu z przebiegu uroczystości.

«ODRA-NIEMEN» NA POLESIU



Wolontariusze wielkopolskiego oddziału Stowarzyszenia Odra-Niemen w Prużanie przy kwaterze Żołnierzy Pułków Poznańskich

25 maja w Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki odbyło się spotkanie członków redakcji «Echa Polesia» z wolontariuszami wielkopolskiego oddziału Stowarzyszenia Odra-Niemen.

Stowarzyszenie znane jest na Białorusi z prowadzenia wszechstronnej współpracy z Polakami. Co roku miłośnicy Polesia prowadzą akcje charytatywne, zbierają relacje żywych świadków historii, oddając hołd bohaterom, a także zachęcając miejscową młodzież do wspólnych działań przywracających pamięć o Kresowych żołnierzach. Oprócz spotkań i pomocy materialnej zajmują się także utrzymaniem polskich grobów i kwater żołnierzy.

«Moc wzruszeń, radości i życzliwości ze strony gospodarzy – tak w skrócie można podsumować ostatni wyjazd wolontariuszy i sympatyków wielkopolskiego oddziału Stowarzyszenia Odra-Niemen na tereny białoruskiego Polesia. Jako Wielkopolanie od kilku lat ze szczególną wrażliwością rozwijamy kontakty z Rodakami z tego regionu, tym bardziej poczuliśmy się zaszczyceni, gdy otrzymaliśmy zaproszenie na zakończenie roku od Polskiej Macierzy Szkolnej w Pińsku. Nasz szlak zaczęliśmy jednak od Brześcia, gdzie odwiedziliśmy Polską Szkołę Społeczną im. I. Domeyki oraz siedzibę redakcji Echa Polesia. Po krótkim spacerze po mieście ruszyliśmy w kierunku Kobrynia. Tam za każdym razem zapalamy znicze na kwaterze Wielkopolan, którzy walczyli na tych terenach podczas wojny polsko-bolszewickiej. Oprócz tego spotkaliśmy się z p. Heleną – zgodnie nazwaną przez nas bohaterką, która własnymi siłami uczy miejscowe dzieci polskiej mowy. Następnie udaliśmy się już w miejsce docelowe, czyli do Pińska – miasta, które chyba już na trwale utkwiło w naszych sercach. W stolicy Polesia mieliśmy przyjemność być gośćmi niezwykle życzliwej p. Olgi. Zresztą z sympatią miejscowych spotykaliśmy się na każdym kroku, za co raz jeszcze serdecznie dziękujemy. W piątek odwiedziliśmy dzielnych Sybiraków, natomiast w sobotę uczestniczyliśmy we wzruszającym zakończeniu roku w Polskiej Macierzy Szkolnej w Pińsku, zwiedziliśmy miasto z przewodnikiem, a wieczorem integrowaliśmy się z Rodakami w uroczych Kaczanowiczach. Przed wyjazdem uczestniczyliśmy w Mszy Św. w Łohiszynie, »»»

Wielkopolanie w Polskiej Szkole Społecznej im.I.Domeyki – ze sztandarem Szkoły



»»» *a dzięki uprzejmości p. Eugeniusza zajechaliśmy jeszcze na kwaterę Pułków Poznańskich w Prużanach i ze smutkiem, aczkolwiek z ogromną satysfakcją opuściliśmy wspaniałe Polesie. Planujemy już następną wyprawę, zatem wyraźnie zaznaczymy – dziękujemy za wszystko i do zobaczenia! A gospodarzy zapraszamy do Poznania».*

Przemysław Bogaczyk,
Prezez Stowarzyszenia Odra-Niemen
Oddział Wielkopolska.
Foto i opr. Red.



«MOSTEK» I MOSTY

Stowarzyszenie plastyków «Mostek» powstało w 2009 r. z inicjatywy Aliny Kondraciuk i jest Stowarzyszeniem Plastyków Polskich przy Związku Polaków na Białorusi. «Mostek» tworzy 9 zaprzyjaźnionych ze sobą malarzy, którzy wykonują swoje prace w różnych technikach plastycznych: Alina Kondraciuk – akryl i olej, Walentyna Panok-Tatarnikowa – pastel i olej, Aleksander Ułybin – olej, Aleksej Żereło – akryl, Żanna Stebnowska – olej, Natalia Krywicka – batik, Andrzej Kondraciuk – pastel, Ludmiła Krapiwnaja – akwarel, Anna Ułybina – gwasz. »»»

Artystów jednoczy nie tylko polskie pochodzenie, ale też miłość do twórczości, fascynacja kulturą i sztuką Polski i wzajemny szacunek. Dwóch członków Stowarzyszenia, Walentyna Panok-Tatarnikowa oraz Aleksander Ułybin, są jednocześnie członkami Związku Malarzy Białorusi.

W dorobku artystycznym SPP «Mostek» są: udział w zbiorowej wystawie «Brzeska Jesień» w Galerii przy ul. Sowieckiej w Brześciu, w XVII Targach Rękodzieła Artystycznego w Siedlcach, w Jarmarku Jagiellońskim w Lublinie, w międzynarodowych plenerach garncarstwa. W 2014 roku odbyły się zbiorowe wystawy «Wiosenny kalejdoskop» oraz «Obrazy białorusko-polskiego pogranicza». Wiosną 2017 roku na sali wystawowej brzeskiej galerii «BelArt» odbył się wernisaż wystawy Stowarzyszenia plastyków polskich «MOSTEK» pt «Wiosenny promień». Kompozycje kwiatowe, pejzaże pełne ukwieconych łąk i ogrodów, portrety kobiet – to wszystko tworzyło atmosferę wiosny.

Artyści mają w swoim dorobku ponad 12 wystaw zbiorowych i szereg personalnych. W 2011 roku Stowarzyszenie «Mostek» zaprezentowało swoje prace po raz pierwszy w Polsce (Terespol, Biała Podlaska).



«Patrząc na różnorodność prac, na tak odmienną tematykę, oceniam wystawę jako jedną z najlepszych w całej historii Miejskiego Ośrodka Kultury. Chcielibyśmy, aby była oglądana w kraju, ponieważ prezentuje wysoki poziom», – tak wypowiadała się o wystawie brzeskich malarzy dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury w Terespolu Pani Anna Pietrusik w czerwcu 2011 roku. Najpełniej twórczość artystów została zaprezentowana na wystawie malarstwa i grafiki w Polsce – na Sali konferencyjnej Miejskiego Ośrodka Kultury w Parku Radziwiłłowskim w Białej Podlaskiej w sierpniu 2011 roku. A także w 2016 roku »»»





»»» w Brześciu – w muzeum Sztuki w Twierdzy Brzeskiej pod nazwą «Retrospektywa», gdzie na trzech salach była prezentowana ekspozycja obrazów stowarzyszenia.

W najbliższych planach Stowarzyszenia – wyjazdy plenerowe latem tego roku po obu stronach Bugu. W celach dalszego propagowania ziemi pogranicza artyści jeszcze raz chcą pokazać bliskość kultur Polski i Białorusi i bliskość ludzi, żyjących wzdłuż prawego i lewego brzegu Bugu. W październiku 2017 roku w Muzeum «Uratowane Skarby» w Brześciu zaplanowane jest także otwarcie dużej wystawy obrazów.

Artyści Stowarzyszenia nie tylko malują swoje obrazy i uczestniczą w wystawach, wielu z nich pracuje w szkołach artystycznych Brześcia i rejonu brzeskiego, dzieląc się z uczniami swoimi umiejętnościami i doświadczeniem. Przez 8 lat wielu ich uczniów kontynuowało naukę na uczelniach artystycznych w Polsce. Tak, wychowankowie Aleksieja Żereły, Aliny Kondraciuk i Aleksandra Ułybina kontynuują naukę w Polsce, a uczeń Aliny Kondraciuk dr Roman Trociuk już sam wykłada w Poznaniu na Akademii Sztuk Pięknych.

Pani Alina Kondraciuk nieraz podkreślała, że nazwa ich organizacji – «Mostek « jest symboliczna. Przekazując poprzez swoje obrazy piękno świata, artyści udowadniają nam, że świat stworzony przez Boga jest piękny i nie ma granic.

Dziewięciu polskich artystów na przestrzeni 8 lat buduje swój Most na wielu płaszczyznach: mostek przyjaźni i wzajemnego zrozumienia w samym stowarzyszeniu, kiedy zbierają się w gościnnym domu Aliny Kondraciuk i wspólnie rozwiązują swoje problemy i omawiają plany na przyszłość. Most między pokoleniami, dzieląc się jako mistrzowie swoją wiedzą z uczniami. I most przyjaźni i współpracy Pogranicza.

Życzymy Stowarzyszeniu «Mostek» dalszych sukcesów. Dziękujemy im za ich twórczość, za energię dobra i piękna, którymi obdarzają nas.

TERESA PUŃKO



«POLONIA-KRESY» ORGANIZATOREM FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH W OPOLU

Towarzystwo «Polonia-Kresy» w Opolu od lat zajmuje się wsparciem wielu cennych inicjatyw, wśród których tradycyjnymi już stały się «Spotkania z Historią i Kulturą Kresów», «Warsztaty teatralne dla dzieci», Międzynarodowe Konferencje Naukowe (m. in. «Kresowianie na świecie»), a także Fora Mediów Polonijnych.

Towarzystwo powstało w lipcu 2012 roku w Opolu. Jego celem jest upowszechnianie wiedzy o dorobku społecznym, kulturowym i naukowym Polaków wywodzących się z dawnych Kresów Rzeczypospolitej, promowanie twórców polskich i polonijnych na terenie Polski, upowszechnianie polskiej kultury i dorobku naukowego poza granicami Polski, inicjowanie działań wydawniczych, których celem jest dokumentowanie szeroko pojętej tematyki kresowej, materialne wspieranie edukacji Polaków żyjących poza granicami Polski oraz pomoc charytatywna.

Towarzystwo organizuje spotkania, konferencje, seminaria, związane z tematyką polonijną ze szczególnym uwzględnieniem tradycji kresowych, współpracuje z bibliotekami, archiwami, placówkami naukowymi oraz organizacjami społecznymi w Polsce i poza jej granicami. Prowadzi badania naukowe, funduje stypendia i nagrody.

Towarzystwo współpracuje także z placówkami naukowymi, bibliotekami, organizacjami społecznymi, urzędami administracji samorządowej oraz mediami. Członkami Towarzystwa są ludzie od lat działający na rzecz Polaków mieszkających za granicą oraz propagujący wiedzę o dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Są wśród nich przedstawiciele środowiska naukowego, artystycznego i mediów. Prezesem Towarzystwa jest pani Krystyna Rostocka, w latach 1996-2012 była prezesem opolskiego Oddziału Stowarzyszenia «Wspólnota Polska».

»»»



Olga Semianiuk – fotoreporter «Ech Polesia»



Uczestnicy Forum Mediów Polonijnych 2016

»»» W październiku ubiegłego roku miałam szczęście uczestniczyć w Forum Mediów Polonijnych, zorganizowanym przez Towarzystwo «Polonia-Kresy». W dniach 17 – 20 października 2016 roku polonijni dziennikarze z ośmiu krajów Europy spotkali się w Opolu.

W wydarzeniu wzięli udział przedstawiciele mediów polonijnych – dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni: Zofia Schroten-Czerniejewicz («Scena Polska w Holandii»), Piotr Plonka («Pepe TV», Niemcy), Irena Liegeniece («Nasz Głos», Łotwa), Irena Rudnickai («Słowo Polskie», Ukraina), Krystyna Koziewicz («Magazyn Polonia», Berlin), Romuald Mieczkowski («Znad Wilii», Litwa), Leokadia Komaiszko («Listy z daleka», Belgia), Stanisław Panteluk i Andżelika Płaskina («Dziennik Kijowski», Ukraina). Beata Schönwald («Głos Ludu», Czechy). Nasze pismo «Echa Polesia» prezentowałam na Forum ja, fotoreporter Olga Semianiuk.

Forum miało na celu promocję miasta Opola w środowiskach polonijnych mediów oraz wymianę doświadczeniami dziennikarzy polonijnych. Polonia na całym świecie prowadzi intensywną działalność społeczną, kulturalną, oświatową integrując się wokół instytucji polskich w różnego rodzaju stowarzyszeniach. Ważną rolę w kultywowaniu kultury polskiej i języka oraz integracji Polaków na obczyźnie, niewątpliwie, odgrywają media polonijne.

Uroczystość otwarcia Forum Mediów Polonijnych w Opolu odbyła się w Sali im. Karola Musioła w Ratuszu miejskim z udziałem ministra Jarosława Gowina, prezydenta Opola oraz rektorów i wielu innych gości. Tutaj każdy z dziennikarzy miał możliwość zaprezentować swoje media.

Podczas czterodniowego pobytu dziennikarze, uczestnicy Forum Mediów Polonijnych mieli okazję zwiedzić stolicę województwa, poznać tutejsze instytucje, takie jak: Politechnika Opolska, Uniwersytet, Instytut Konfucjusza, Teatr im. Jana Kochanowskiego, Teatr Lalki, Muzeum Śląska Opolskiego, Muzeum Polskiej Piosenki, bibliotekę miejską, radio «Opole», telewizję. Duże wrażenie na wszystkich wywarł wysoki poziom prezentacji tych organizacji i wielka ilość różnorodnych ofert.

W imieniu swoim i Redakcji «Ech Polesia» pragnę podziękować organizatorom Forum Mediów Polonijnych, szczególnie działaczom Towarzystwa za gościnność i stworzenie wspaniałych warunków dla poznania się, obcowania i wymiany doświadczeń między kolegami z branży dziennikarskiej. Mam nadzieję, że niebawem spotkamy się na kolejnym Forum.

OLGA SEMIANIUK.
ZDJĘCIA: OLGA SEMIANIUK,
JERZY STEMPLEWSKI (OPOLE)



PODRÓŻE NAD DAWNĄ GRANICĘ Z IHARAM MIELNIKAWYM

Zwiedzając dawne polsko-sowieckie pogranicze w okolicach Zasławia-Rakowa, można czasem spotkać grupkę turystów prowadzoną przez niezwykłego przewodnika. Jest ubrany w mundur oficera KOPu lub sowieckiego pogranicznika. Jest to znany białoruski historyk i rekonstruktor wojskowy Ihar Mielnikau. Mieszka w pobliskim Zasławiu i zna wszystko o pobliskim odcinku dawnej granicy.

Granica to jednak nie tylko pasja Ihara, bowiem od pięciu lat prowadzi tu wycieczki dla podróżników z Polski, Białorusi oraz innych krajów. Jest to dość nowy kierunek turystyczny cieszący się coraz większą popularnością.

Program wycieczki obejmuje nie tylko zwiedzanie powszechnie znanych zabytków, lecz także ruin polskich i sowieckich strażnic pogranicznych, fortyfikacji z tzw. Minskogo ukreplonnogo rajona (Mińskiego rejonu umocnionego), dawnego pasu bunkrów, który ZSRR budował w latach 1930-ch na granicę z II RP oraz wielu innych ciekawostek.

Swoje wycieczki Ihar Mielnikau zaczyna zwykle w rodzinnym Zasławiu. W międzywojniu tu znajdowała się ostatnia stacja kolejowa po sowieckiej stronie. Jak mówi historyk, właśnie z powodu swego ważnego statusu stacja otrzymała nazwę «Białoruś». Ciekawie, że ta nazwa przetrwała do dnia dzisiejszego. Do dziś też zachowały się w centrum Zasławia koszary 15 «pogranicznogo otriada» (oddziału pogranicznego). Jest to obiekt mało znany nawet wśród mieszkańców miasta.

Dalej Ihar prowadzi wycieczkę w stronę dawnej granicy, zwracając uwagę podróżników na osadę Chmielówka, gdzie w latach międzywojennych osiedlano uchodźców z II RP.

»»»

»»» «Czasem, – mówi przewodnik – KOPiści nawet pomagali przekraczającym granicę, by ci «skosztowali» sowieckiego chleba. Najczęściej jednak podobna wędrówka do kraju Rad kończyła się Sybirem».

W miejscowości Nowe Pole, gdy niegdyś mieściła się «pogranicznaja zastawa» zachował się piękny pałac książąt Druckich-Lubeckich. Według Ihara Mielnikawa, jest warty, by zostać miejscem kręcenia filmu o życiu szlachty. Obecnie w tym pałacu znalazło się liceum rolnicze, które teraz jest jego właścicielem. Pewnie dlatego budynek jest nieźle zachowany.

W 1921 roku ostatni właściciele musieli opuścić pałac i zamieszkać w pobliskim Rakowie, już na terenie II RP. W tym samym roku wydarzyła się rodzinna tragedia. Jak opowiada miejscowa legenda, młoda księżniczka Krystyna Drucka-Lubecka bardzo tęskniła za swoim miejscem urodzenia. Z granicy było widać dwór w Nowym Polu, który po pokoju ryskim znalazł się po sowieckiej stronie. Często jeździła konno wzdłuż granicy. W czasie jednej z takich wypraw koń został postrzelony, a księżniczkę uprowadzono na sowiecką stronę. Jest wersja, że na posterunku postrzeliła pogranicznika, ale pewne jest, że została zgwałcona i brutalnie zamordowana. Jej ciało zostało podrzucone na polską stronę. Wpływowa rodzina wywołała skandal dyplomatyczny. Żeby go ugasić, Sowieci rozstrzelali cały oddział straży granicznej. Dziewczyna została pochowana na cmentarzu w Rakowie.

Od razu za Nowym Polem była granica, której linię po upływie wielu lat można jeszcze dostrzec. Jest bowiem wyłożona kamieniem, tuż obok zachowały się niewielkie pagórki, na których stawiano wówczas znaki graniczne.

Po polskiej stronie w międzywojniu znajdowało się kilka strażnic strzeżonych przez żołnierzy z baonu KOP «Iwieniec». Najbliższą do Nowego Pola była strażnica «Mińska», która liczyła około 18 żołnierzy. Jak opowiedział Ihar Mielnikau, w latach 1930ch strażnica była słynna ze swych osiągnięć sportowych. Obsada strażnicy zakwaterowana była w drewnianym budynku popolicyjnym, który niestety się nie zachował.

Dalej przewodnik prowadzi wycieczkę do sąsiedniej strażnicy w Kuczkunach. Początkowo, mówi pan Ihar, żołnierze mieszkali tutaj w drewnianych koszarach popolicyjnych. Lecz w 1930ch w Kuczkunach zbudowano ceglaną strażnicę. Był to parterowy budynek z piwnicami, które miały strzelnice, i w razie ataku na strażnicę mogły służyć jako schrony bojowe.

Dowódca strażnicy KOP «Kuczkuny», sierżant Rudolf Trzos wspominał, że 17 września 1939 roku o godzinie 4 lub 5 z pobliskiej strażnicy na rowerze przyjechał do niego żołnierz i poinformował, że napadli ich Sowieci. Po chwili pocisk trafił polską strażnicę w Kuczkunach. Funkcjonariusze KOP zaczęli strzelać w odpowiedzi. W tym momencie sierżant zaczął niszczyć dokumenty, by nie trafiły do rąk wroga. Gdy skończyła się amunicja, sierżant Trzos kazał opuścić zniszczony budynek. Żołnierze KOP starali się w małych grupach przedostać się do Wołożyna. Jednak następnego dnia, 18 września 1939 roku, żołnierze KOP trafili do bolszewickiej niewoli. Aresztowanego Rudolfa Trzosa przywieziono do Mołodeczna, gdzie został przesłuchany przez funkcjonariuszy NKWD. Następnie sierżanta razem z innymi kolegami wsadzono do wagonu i wysłano do obozu w Ostaszkowie. W kwietniu 1940 roku polski kontyngent zgodnie z decyzją z 5 marca 1940 roku zaczęto likwidować, jednak żołnierzowi KOP udało się przekupić strażnika (uratował go złoty zegarek) i uciec. Później wrócił do domu.

Strażnicę w Kuczkunach zniszczono we wrześniu 1939 roku. Obecnie zostały po niej tylko ruiny piwnicy. W korzeniach leżących obok drzew zobaczyć można bitą cegłę pozostałą po zabudowaniach KOPu. W przedwojennych periodykach często pisano, iż KOPiści dużo czasu poświęcali zagospodarowaniu terenu wokół strażnic. W Kuczkunach pan Ihar pokazał ozdobną

opaskę z kamieni wokół starego drzewa oraz resztę alei prowadzącej przed wojną do budynku strażnicy

Budynek strażnicy w Szapowałach zachował się do naszych dni. W okresie powojennym była w nim wiejska szkoła, później warsztat mechaniczny państwowego gospodarstwa rolnego. Od połowy lat osiemdziesiątych budynek popada w ruinę. Dla swoich domów letniskowych ludzie zdjęli dach, zabrali drzwi. Dopiero od niedawna budynek ma właściciela, który przebudował strażnicę i obecnie tam mieszka z rodziną. Budynek jest niezwykle ciekawy. Przypomina przedwojenne polskie bloki wojskowe w twierdzy Modlin, Brześć i Mołodeczno. Ta sama cegła, ten sam kształt. Podłoga strażnicy była pokryta płytką produkcji słynnej polskiej fabryki «Dziewulski i Lange».

Ihar Mielnikau jako zawodowy historyk dużo opowiada o wydarzeniach 17 września 1939 r. na granicy. Dlatego zwiedzając wraz z nim ruiny polskich strażnic w Kuczkunach i Szapowałach można sobie dobrze wyobrazić, co się tu odbywało w pierwsze chwile agresji radzieckiej. Według relacji p. Ihara, w dniu 17 września w Szapowałach granicę ochraniało zaledwie 14 funkcjonariuszy KOP. Kilka dni przed atakiem wojsk sowieckich polska straż graniczna zwróciła uwagę na aktywny ruch sowieckiej techniki i kawalerii wzdłuż granicy. Cały teren przygraniczny oświetlały kolorowe rakiety. Wcześniej kopiści ze zdziwieniem zauważyli, że po sowieckiej stronie usunięto zapory z drutu kolczastego. Wieczorem 16 września 1939 r. dowódca strażnicy Szapowały kapral Niedzielski, obserwując przez lornetę wieś Wiendzelewo, położoną po sowieckiej stronie, zobaczył dużą liczbę kawalerzystów i piechoty Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Kilka godzin później cała ta armada ruszyła na Zachód. Na odcinku batalionu KOP «Krasne» atakowały pododdziały sowieckiej 100. Dywizji Strzelców, 36. Dywizji Kawalerii oraz funkcjonariusze 15. Zasławskiego Oddziału Straży Granicznej NKWD BSRR.



W dniu 17 września w rejonie Szapowałów sowiecka straż graniczna spróbowała niezauważona zbliżyć się do strażnicy i obrzucić ją granatami. Polacy jednak zobaczyli wroga w pobliżu budynku i zaczęli strzelać z ręcznego karabinu maszynowego Browning i karabinów. Sowiecka straż graniczna wycofała się. Wkrótce przyszły im z pomocą jednostki 144. Pułku Kawalerii. Czerwonoarmiści szybko otoczyli budynek i zaproponowali żołnierzom KOP poddać się. W odpowiedzi usłyszeli strzały. W walce zginęło 4 polskich żołnierzy, jeszcze 10 wzięto do niewoli. Wśród rannych był również kapral Niedzielski. Przewieziono go do Zasławia, do budynku kwatery głównej 15. sowieckiego oddziału straży granicznej, gdzie zmarł. Podczas szturmu na strażnicę Szapowały zginęło dwóch czerwonoarmistów, jeden został ciężko ranny.

Po zwiedzaniu strażnic Ihar Mielnikau prowadzi zwykle wycieczkę do «stolicy przemytników» – Rakowa. Tam podróżnicy mogą się dowiedzieć o pogranicznej przeszłości miasteczka, zobaczyć jego główne atrakcje i nawet porozmawiać z ludźmi, którzy pamiętają jeszcze pograniczne czasy.

DYMITR ZAGACKI

Na zdjęciach Ihar Mielnikau podczas swoich wycieczek nad dawną granicę

KRZYSZTOF HEJKE



«Całe życie moje wynika stąd, co jest we mnie, o czym marzyłem»
Krzysztof Hejke

Inteligentny, energiczny, emocjonalny, wrażliwy, pełny sił, z poczuciem humoru, umiejący się śmiać z siebie i z okoliczności, człowiek o szerokich zainteresowaniach, człowiek z bogatą działalnością artystyczną, żyjący według własnego scenariusza to bohater mojego opowiadania.

Krzysztof Hejke żyje tym, co robi, a robi to, co lubi. I to, co robi, i to co lubi stało się jego zawodem. Ten człowiek łączy w sobie wiele sprzeczności. Wrażliwy intelektualista, tęskniący za minionymi czasami i wypielonym kwietnikiem, harmonią i spokojem, jest równocześnie człowiekiem nieustannie poszukującym, podróżującym i odkrywającym.

Profesor i podróżnik, fotograf i nauczyciel, wydawca i badacz, fan muzyki, a oprócz tego z nim łatwo rozmawiać i łatwo się śmiać.

Przysłowie stwierdza, że człowiek powinien wybudować dom, posadzić drzewo i wychować syna.

DOM

Zbudował swój dom będąc jeszcze bardzo młodym człowiekiem. W 1984 roku kupił stary poniemiecki dom-ruinę w małej mazurskiej wioseczce Wesołowo, która znajduje się na samej granicy z obwodem kaliningradzkim. Ten czyn był, być może, spełnieniem jego marzeń, które z kolei były kontynuacją marzenia rodziców.

«W mojej rodzinie zawsze była polska tęsknota za domkiem z malwami, ogródkiem, sadem. Przed wojną dziadkowie mieli areały, ja chciałem mieć choćby piędź ziemi. Jako 22-latek sprzedałem małego fiata, srebrną cukiernicę Frageta i kupiłem podupadające gospodarstwo i półtora hektara ziemi... Nie miałem pojęcia o wsi, uprawie ziemi, życiu poza miastem. A tu zostałem sam w rozwalającym się domu bez wody i prądu. Przez rok kąpałem się pod prysznicem, który zrobiłem z konewki i sznurka. Pszenica, którą jako rolnik musiałem

kontraktować i siać, rosła w moich oczach. Co rano wychodziłem w pole i nie mogłem uwierzyć, że jest z dnia na dzień wyższa,» – wspominał w rozmowie z dziennikarką Katarzyną Rzehak.

Z pomocą przyjaciół i własnoręcznie kilka lat remontował i rozbudowywał dom. Po jakimś czasie wrócił do życia miejskiego. Teraz dom jest miejscem inspiracji dla artysty, miejscem, gdzie można zanurzyć się w ciszy i długimi godzinami obserwować zmiany w przyrodzie. Ale też miejscem, które gościnnie otwiera swoje drzwi dla niewidomych dzieci z Lasek, dla innych potrzebujących i przyjaciół.

W dzisiejszych dniach na stale profesor mieszka w Kobyłce niedaleko od Warszawy, w pięknym domu, wyposażonym w zabytkowe meble, w dużej części rodzinnymi. «Tego rodzaju przedmioty były cenione przez rodziców i dbano o nie. Troszeczkę uzupełniłem. To ten świat, w którym dobrze się czuję» – opowiada. Ja wiem, że to skromnie wypowiedziane «troszeczkę uzupełniłem» zawiera między innymi i biurko z Bohatyrowicz, na którym pisała Orzeszkowa, i fortepian z czasów Chopina. W ogóle, często nazywa swój dom lamusem kresowych pamiątek.

Wiadomo, że dużo podróżuje. Pytam – gdzie chciałby spotkać starość. Znów uśmiecha się – to nie o mnie. Jeszcze nie prędko. Ale, oczywiście, u siebie w domu właśnie z nim jestem najmocniej związany, jego nastrój zbiega się z nastrojem mojej duszy.

SYN

Wychowuje syna. Stara się poświęcić mu jak najwięcej wolnego czasu przekazując mu swoją percepcję rzeczywistości i swoje wartości duchowe.

Nauczył go jeździć na nartach, tak jak swego czasu zrobił to jego ojciec. Zabierał ze sobą na Kresy. I oczywiście Ksawery Hejke wie, że jego dziadek, Hejke Jan Kazimierz, był cichociemnym. Przed rokiem uczcił wraz z ojcem Rok Cichociemnych skokiem ze spadochronem. W grudniu 2016 roku w Teatrze Polskim w Warszawie odbyła się gala z okazji zakończenia roku cichociemnych, gdzie współprowadzącym był Ksawery Hejke.

Moim zdaniem, z zadaniem zbudować dom i posadzić drzewo poradził sobie znakomicie. Posadził nie jedno drzewo, a oprócz tego kwiaty i siał pszenicę. Wychowanie syna to proces na całe życie.

O swojej rodzinie Pan Krzysztof mówi, że była tradycyjna jak i wielu innych w Polsce i była aktywna w każdym okresie historii. Dwóch dziadków przed wojną otrzymało po 3 Krzyże Zasługi we wszystkich odcieniach za postawę obywatelską.

Jego ojciec Hejke Jan Kazimierz był oficerem przedwojennym, po tym w Armii Andersa i był cichociemnym ps. «Znicz II». Szkolił Cichociemnych w dywersji. Brat ojca zginął w powstaniu.

W 1943 r. brat ojca – Leszek Hejke z Płocka wyjechał do Warszawy. Uczestnik powstania warszawskiego. Według ustaleń rodziny żołnierz AK – Batalionu «Zośka», kompania «Maciek», pseudonim Halicki, dwukrotnie ranny. Ostatnio widziany w szpitalu Maltańskim, który zlikwidowali hitlerowcy.

Rodzina matki uczestniczyła w powstaniu warszawskim. Mama – Krystyna Hejke z d. Mierzejewska, była sanitariuszką w dzielnicy Mokotów.

Wuj Antoni Ancuta w czasie powstania warszawskiego działał jako operator filmowy.

Matka chrzestna – Ewa Jeglińska – była łączniczką w kanałach warszawskich.

FOTOGRAF

Obszar zainteresowań zawodowych Pana Profesora jest obszerny. Największą pasją, która stała się później ulubionym zajęciem została, oczywiście, fotografia.

Na moje pytanie o tym, jak to się stało, że zaczął zajmować się fotografią, znany polski fotografik opowiada:

«Fotografią dał się ponieść przypadkowo. Ojciec podarował mi Kodak »»»



W głębi Polesia
// Foto Krzysztof Hejke

»»» Retina, który był u niego jeszcze z czasów wojny. Pierwsze techniczne zdjęcia zrobiłem w wieku 10 lat. Mama pracowała w muzeum, dlatego miałem możliwość wywoływać zdjęcia w ciemni muzealnej u przyjaciółki mamy. Tam odbywał się prawie mistyczny proces – cud pojawienia jakby z niczego, po prostu ze światła i cienia obrazu na papierze, tam przesiadywałem godzinami. Magia tego gabinetu porwała mnie w dzieciństwie i do dnia dzisiejszego jestem pod jego wpływem.

Pierwsze pismo, które nadrukowało moje zdjęcie – Fotografia. W połowie lat 90-tych miałem wielki zaszczyt – publikowałem się w większości pism polskich i w wielu wydawnictwach. Trudno wymienić wszystkie.

I tu znowu należy wspomnieć o rodzinie pana Hejke.

Mama, Krystyna Mierzejewska, później Hejke (historyk sztuki) w 1952 r. zorganizowała Muzeum Mazowieckie w Płocku. Będąc dzieckiem całe dni spędzał z matką w magazynach między obrazami Axentowicza, Mehoffera a rzeźbami Dunikowskiego. W ten sposób przypadkowa fascynacja fotografią i wiele dni spędzonych z matką w muzeum ukształtowały jego zainteresowania. W 1982 Krzysztof Hejke otrzymał dyplom w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie. W 1990 r. został Absolwentem Instytutu Fotografii Artystycznej w Pradze. Wydział Operatorski Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi ukończył w 1991r.

18 października 2004 z rąk Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego otrzymał tytuł profesora.

NAUCZYCIEL

Chętnie dzieli się z innymi swoimi umiejętnościami i wiedzą.

Przez cztery lata był nauczycielem plastyki w gminnej szkole, do której codziennie jeździł motorem, rowerem albo biegał 16 kilometrów w każdą stronę ze swojego Wesołowa.



Pożegnanie zesłanej Polki na Ziemi Kazachstanu *// Foto Krzysztof Hejke*

Od 24 lat wykłada fotografię na Wydziale Reżyserii i Wydziale Operatorskim macierzystej uczelni w Łodzi.

Pytam – Czy lubi Pan swoich studentów?

– Tylko tych, którzy na to zasługują – podkreśla.

MIŁOŚNIK MUZYKI

Kiedyś w rozmowie powiedział, że muzyka jest mu bardzo bliska i wzbogaca.

Nową fascynacją w życiu profesora jest stary fortepian z czasów Chopina.

Zabytkowy Erard, pochodzi z 1845 roku (nr 16947). Niegdyś instrument został przewieziony z Francji do Polski i jakimś cudem udało się mu przeżyć 2 wojny światowe i w tym jest coś niezwykłego i magicznego. Krzysztof Hejke w 1999 roku zakupił ten instrument w Lublinie. W 2015 roku fortepian został całkowicie odrestaurowany i odnowiony. Teraz profesor Krzysztof Hejke, który lubi dzielić się tym, co ma – dzieli się muzyką, prowadzi w domu mały Salon muzyczny. Od niedawna koncerty są aktywnym elementem jego życia. Odbyły się już 3 Salony muzyczne.

Swoje wrażenia o pierwszym Salonie opowiada muzykolog Agata Mierzejewska:

«W marcowy, sobotni wieczór w muzycznym salonie profesora Krzysztofa Hejke pod Warszawą uczestniczyliśmy w wyjątkowym koncercie. Przy delikatnym świetle lamp naftowych, tykaniu zegarów i feerii zapachów, w kameralnym gronie wysłuchaliśmy utworów Fryderyka Chopina na zabytkowym Erardzie. Koncert f-moll w wersji na fortepian solo według Wydania Narodowego oraz dwie chopinowskie miniatury wykonała Yuko Kawai'. Dodam, że Japonka chce zagrać na tym fortepianie wszystkie utwory Chopina w ciągu 5 lat.

A w czerwcu 2017 r. odbył się kolejny koncert z cyklu «Muzyczne spotkanie przy Erardzie i samowarze...»

Utwory Fryderyka Chopina, Marii Szymanowskiej, Adolfa Gutmanna wykonała prof. UMFC Maria Ludwika Gabryś.

Na spotkaniach przy fortepianie nawiązujących do atmosfery »»»

»»» dziewiętnastowiecznego salonu zbierają się melomani i muzykolodzy. Dom, który ma swój nastrój, daje możliwość całkowitego zanurzenia się w romantycznej epoce i w muzyce tej epoki.

PODRÓŻNIK

Profesor Hejke uczestnik i dokumentalista wypraw wysokogórskich na najwyższe szczyty kontynentów, m.in. w Himalaje, na Alaskę, Syberię, Kaukaz, Kilimandżaro, Aconcagua (góry w Chile Akapko Dir, Dżabal Tubkal, góra Ararat, Kazbek, Elbrus, Nepal, Manaslu, Szczyt Czerskiego, Pik Pobiedy-Kirgistan, Alpy).

KRZYSZTOF HEJKE: Nie jestem fotoreporterem wojennym. Pojechałem do Palestyny, ponieważ chciałem zrozumieć, dlaczego od lat nienawiść rządzi Świętą Ziemią.

Od kilkunastu lat przemierza dawne Kresy RP i Syberię w poszukiwaniu polskich śladów.

Skąd zamiłowanie w Kresach? – pytam i sama zakładam odpowiedź –

Bo stąd mój ród (Inflanty).

Moje przypuszczenie okazało się słusznym. Opowiada: Wszystko zaczęło się od poszukiwania swoich korzeni. Z ochoty zetknąć się z ziemią, po której kiedyś chodzili przodkowie. Zobaczyć na swoje oczy dawne Inflanty, i piękne Wilno, skąd pochodziła babcia.

Pierwsza podróż na Wileńszczyznę była w 1991r. Szukał swoich bliskich, szukał swoich korzeni. Dał ogłoszenie w gazecie, mając nadzieję znaleźć kogoś, kto pamiętał rodziny Grzymałowskich i Mierzejewskich. Wydawało się mu, że tu, na uliczkach starego miasta, powinny zostać ślady przodków, niech choć w pamięci starszych mieszkańców miasta. Niestety tak się nie stało. Opowiadając o tym, powiedział «Coś było, a śladu nie było». Wrócił do Polski przed sowieckim atakiem na wileńską wieżę telewizyjną.

I być może stąd, z faktu, że burzliwa historia ziem pogranicza kroiła na żywo granice państw, zmieniając je, dzieląc rodziny, często nie pozwalała nawet na bardzo krótki czas wracać do rodzimych miejsc, powstało pragnienie, aby zdążyć zobaczyć i zapisać odchodzący świat Kresów. Udokumentować historię dla obecnych i przyszłych pokoleń. O Kresach w Polsce wtedy było milczenie. Milczenie o historii Kresów było i na samych kresach wschodnich.

Od 1991 roku zaczął regularnie jeździć na Kresy. 20 lat wyjeżdżał z uczniami. Były to 10 dniowe warsztaty na kierunku – fotografia reportażowa w Łódzkiej Szkole. Od czasów pierwszych podróży ze studentami i po dzień dzisiejszy skutecznie zaraża swoich studentów pasją podróżnika i fotografika.

Dalej więcej – zaczął szukać polskich śladów na Syberii, w obwodzie irkuckim, Kraju Krasnojarskim, obwodzie tomskim, w Buriacji, Jakucji, na Kamczatce, na Sachalinie i w Usolu Syberyjskim. Kilka razy w roku zmienia kontynent.

Te wyjazdy w poszukiwaniu polskich śladów zawsze ryzyko i wyjazd w nieznane. Na pewno nie wie czy znajdzie i gdzie znajdzie schronienie na noc i jaka pogoda czeka na niego w drodze. Dlatego śpiwór to obowiązkowa część ekwipunku podczas wyjazdu. Bez względu na wszystko profesor dokonał wielu wypraw dokumentacyjnych. Romantyczny awanturzysta dociera do miejsc, o których czasami nikt nie wie. W autorskim wstępie do albumu «UZBEKISTAN. POLSKIE CMENTARZE WOJENNE» wspominał o swojej wyprawie do Uzbekistanu:

«Do cmentarzy polskich w Uzbekistanie docierałem koleją, taksówkami, samochodami terenowymi i konno. Ogromne przestrzenie w monotonnie szarym krajobrazie omiatał przeszywająco zimny wiatr. Czy to za jego przyczyną, czy może wody, zapadałem na błyskawiczne gorączki powodujące poczucie niemocy i wszechogarniającego zmęczenia. Skojarzenia nasuwały się same – widok niemych cmentarzy, z rzadka odwiedzanych – pisała je historia. Pisała je krzywda i cierpienie ponad milionowej rzeszy Polaków, rzuconych «na przemiał» w zatajoną głąb



Wystawa K.Hejke
w Pińsku

rosyjskiej ziemi, skąd część z nas zaledwie wyszła z życiem...»

Pierwsze fotografie powstawały jeszcze wówczas, gdy dogorywał Związek Sowiecki, ostatnia wyprawa była całkiem niedawno (wiosną 2017 r). Podróżnik i badacz poszukiwał dokumentów 5 Dywizji gen. Andersa w Kirgistanie. Poszukiwania zakończyły się sukcesem.

Na wernisażu wystawy «Niepamięć» w Warszawie w 2016 roku powiedział:

«Niepamięć» to moja obsesja, prywatna wojna, którą toczę z czasem o zatrzymanie śladu ludzkiego losu, by nie odszedł zapomniany... Temu przede wszystkim służą moje podróże od Kresów po Syberię...»

Jestem pewna, że Krzysztof Hejke prowadzi własną walkę przeciwko wymazaniu z pamięci historii. Historii miejscowości, historii rodzin. Jego własne zwycięstwo nad zapomnieniem to jego wystawy i jego albumy, które zostają po wyprawach na Kresy.

Do 2000 roku nigdy nie był na Polesiu. W Krakowie dostał książkę Louise Arner Boyd i dzięki niej zapoznał się z Polesiem. Z tej książki dowiedział się o Kudryczach. Książka była historycznym przewodnikiem. Wydawało się, że znał Kudrycze i pojechał szukać tych miejsc. Porównywał. We wstępie do swojego albumu «Polesie» napisał: «Często podróżowałem szlakami wodnymi łodzią bądź kajakiem, płynąc kilkumetrowym kanałem w palisadzie z trzciny. Po godzinach wędrówki tunel się otwierał ukazując zjawiskowe jezioro o płytkim dnie z krystaliczną wodą i stado białych czapli niczym z obrazu Chełmońskiego.»

Chociaż w rozmowie o Polesiu mówi, że już nie jest takie, jakim było. Jakim wyobrażał i znał go z książki słynnej Amerykanki. Polesie w dużym stopniu wysuszone. I znika jego wyjątkowość, znikają tradycje, odchodzą w zapomnienie starzy ludzie, a młode pokolenie czy będzie miało wspomnienia o przeszłości rodzinnej...?

«Znalazłem miejsce, nie znalazłem tego, czego szukałem» – podsumował.

Na moje pytanie o to, gdzie na Kresach czuje siebie bardziej komfortowo, powiedział, że najbliższa jest mu »»»

»»» Wileńszczyzna, bo w porównaniu do innych miejsc wpływ powojennej rzeczywistości tam jest najmniejszy. Wilno, jego zdaniem, w dużej mierze zachowało przejawy dawnego życia. Chociaż mówi, że tak najczęściej jest na Polesiu. To właśnie tam, niedaleko wioseczki Stachowo, w bagiennych ostępach przypadkowo zobaczył kłody z pszczołami, po czym bartnictwo stało się pasją Pana profesora.

Poświęca dużo czasu temu rzemiosłu. Fascynacja bartnictwem zaowocowała wystawami w Warszawie w Muzeum Etnograficznym, na Ukrainie, w Łucku, w Galerii Sztuki Narodowego Związku Artystów, na Białorusi – w Pińsku, w Muzeum Białoruskiego Polesia i Brześciu w Obwodowym Centrum Społeczno-Kulturalnym. Na wystawach profesor nie tylko demonstruje piękne wielkoformatowe zdjęcia, autentyczne narzędzia bartnicze, ale i opowiada o historii tego rzemiosła. Tak, na przykład, okazuje się, że bartnicy zrzeszały się w stowarzyszenia, które miały nawet własne sztandary. Podkreśla, że bartnictwo jako element kultury właściwy jest dla narodów zamieszkałych na dzisiaj w różnych państwach, a kiedyś żyjących w granicach I Rzeczypospolitej.

Profesor jest zapalonym kolekcjonerem, ma największy w Polsce zbiór przedmiotów związanych z bartnictwem. Ma barcie z Litwy, Ukrainy, Białorusi. One stanowią nie tylko eksponaty muzealne, ale nadal żyją, wykonując swoją funkcję – być domem dla dzikich pszczół. Oto i w tym czerwcu przyleciał nowy rój do barci Krzysztofa Hejke.

W 2016 roku bartnictwo zostało wpisane na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego, Krzysztof Hejke był jędną z osób, dzięki którym to wydarzenie stało się możliwe.

Znany fotograf ma ponad sto indywidualnych wystaw w kraju i za granicą. Ale, jak wiadomo, wystawy mają swój określony wiek. Inną formą zapisywania historii jest wydanie albumów fotograficznych. Moim zdaniem, mianowicie albumy na długo zachowują dla nas przeszłość. K. Hejke jest autorem kilkunastu albumów. Wśród nich: «Polska Romantyczna» (siedmiokrotnie nagrodzony w konkursach na najpiękniejszą książkę). I najbardziej bliski autorowi «Kresy. Zapomniana ojczyzna».

Niedawno ukończył trzyletnią pracę nad albumem «Ostatni bartnicy europejscy, których spotkałem», będzie liczył 300 stron. Album będzie zawierał kulturowo-historyczną część, opowiadającą historię bartnictwa na ziemiach Polski, Litwy, Białorusi, Ukrainy, Rosji. Będzie także część poświęcona odrodzeniu bartnictwa na ziemiach polskich w ostatnich 10 latach.

Składamy serdecznie gratulacje Panu Profesorowi Krzysztofowi Hejke z powodu odznaczenia go jako «osoby szczególnie zasłużonej dla ochrony polskiej spuścizny kulturowej pozostającej poza granicami kraju» i dostaniem podczas III Gali Fundacji Dziedzictwa Kulturowego na Zamku Królewskim w Warszawie 27 kwietnia 2017 r Srebrnego Medalu. «Zasłużony Kulturze Polskiej – Gloria Artis».

TERESA PUŃKO, BRZEŚĆ



«Pierwsze znicze na grobie rodzinnym Grzymałowskich z majątku Julianów nad Dźwiną zapaliłem po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach» // *Foto Krzysztof Hejke*

POLESKI KOMANDOR

Wspominając służbę w szeregach Flotylli Rzecznej, stacjonującej przed wojną w Pińsku, wszyscy weterani obowiązkowo kilka słów poświęcają jej wieloletniemu dowódcy, komandorowi Witoldowi Zajączkowskiemu. To on w latach 1930ch zmodernizował «flotę pińską», której okręty w pierwsze dni wojny zestrzeliły trzy niemieckie bombowce. Znał się na wszystkim: na motorach, maszynach parowych i artylerii. Przez swoich podkomendnych był nazywany «Księciem Polesia», wywierał bowiem silne wrażenie swoją «mową tronową, mową władcy, który umie rządzić swoim niesfornym ludkiem», swymi gestami naprawdę książęcymi.



Komandor porucznik Witold Zajączkowski jako dowódca Flotylli Rzecznej

«Książę Polesia» niejednoznacznie charakteryzowany był przez wyższych oficerów. Mimo to jest godny uwagi, bo przeżył długie ciekawe życie i zapisał się w dziejach polskiej floty wojennej.

Witold Zajączkowski urodził się w 1892 r. w Symferopolu na Krymie. Wywodził się z katolickiej rodziny szlacheckiej pochodzącej z Wileńszczyzny. Ojciec ukończył Instytut Inżynierów Cywilnych w Petersburgu. Trudności ze znalezieniem pracy zmusiły go do wyjazdu wraz z żoną na Krym, gdzie objął stanowisko architekta miejskiego w Symferopolu. Matka osierociła Zajączkowskiego, gdy miał zaledwie cztery lata. Opiekowała się nim macocha – Janina Wieszczycka, która wychowywała go w polskiej patriotycznej atmosferze.

Po ukończeniu sześciu klas gimnazjum klasycznego w Symferopolu Witold Zajączkowski wyjechał w 1908 r. do Petersburga i po zdaniu egzaminu konkursowego został słuchaczem Korpusu Morskiego. Po zakończeniu edukacji w rotach kadeckich uzyskał prawa maturalne i kontynuował naukę na specjalistycznych kursach w rotach gardemaryńskich. Brał udział w corocznych praktykach morskich dla gardemarynów odbywanych na Bałtyku, Morzu Śródziemnym oraz Oceanie Atlantyckim.

Podczas nauki w Petersburgu utrzymywał ożywione kontakty z zamieszkałymi nad Newą krewnymi, odgrywającymi znaczącą rolę wśród tamtejszej Polonii. Jego wuj Władysław Sągin był dyrektorem dużej fabryki i stoczni – Petersburskich Zakładów Metalowych, a stryj – prof. Józef Ziemacki – cenionym chirurgiem i specjalistą w zakresie położnictwa.

W październiku 1913 r. Witold Zajączkowski został awansowany na miczmana rosyjskiej marynarki wojennej. Po ukończeniu nauki w Korpusie Morskim został przydzielony do Floty Bałtyckiej i przed wybuchem I wojny światowej służył na kontrtorpedowcu «Moskwitianin» na stanowisku oficera wachtowego, z miesięczną przerwą na początku 1914 r., gdy przeniesiono go na krążownik pancerny «Rosja» na »»»



Witold Zajączkowski. Zdjęcie z przedwojennego czasopisma «Wiarus»

»»» stanowisko młodszego oficera. Podczas wizyty w Kronsztadzie 1. Eskadry Krążowników Liniowych Royal Navy pod dowództwem kontradmirała Davida Beatty'ego Zajączkowski został przydzielony jako oficer łącznikowy na brytyjski krążownik liniowy «New Zealand», co stanowiło duże wyróżnienie.

Po ogłoszeniu mobilizacji pozostawał czasowo w dyspozycji Sztabu Głównego Marynarki Wojennej, jednak na początku wojny na własną prośbę został skierowany do służby w 1. Dywizji Kontrtorpedowców Floty Bałtyckiej. Przydzielono go na bazujący w Helsingforsie (obecnie Helsinki) kontrtorpedowiec «Miełkij» i powierzono stanowisko oficera artylerii oraz dowódcy załogi.

Po wybuchu I wojny światowej Zajączkowski brał udział w patrolach bojowych na Bałtyku. W 1915 r. otrzymał przydział na nowoczesny kontrtorpedowiec «Zabijaka» na stanowisko II oficera artylerii oraz rewizora (oficera prowadzącego gospodarkę okrętową podlegającego bezpośrednio dowódcy okrętu). W styczniu 1916 r. uczestniczył w operacji postawienia zagrody minowej na północ od Lipawy, podczas której «Zabijaka» wszedł na minę i doznał ciężkich uszkodzeń. Za zasługi przy ratowaniu okrętu został 30 lipca tego roku awansowany poza kolejnością na stopień lejtenanta. W kampanii 1916 r. walczył na wyremontowanym kontrtorpedowcu na wodach Zatoki Ryskiej, gdzie rosyjska Flota Bałtycka wspierała nadmorską flankę 12. Armii broniącej Rygi i ujścia Dźwiny.

Po przewrocie bolszewickim w listopadzie 1917 r. zniechęcony postępującym rozprzężeniem wśród marynarzy Floty Bałtyckiej Witold Zajączkowski porzucił służbę w rosyjskiej flocie wojennej.

Przez kilka miesięcy przebywał w Helsingforsie, a w maju 1918 r. przedostał się drogą morską do okupowanego przez wojska niemieckie Rewla (obecnie Tallin). W grudniu 1918 r., gdy Estonia zagrożona agresją zbrojną ze strony Rosji bolszewickiej ogłosiła powszechną mobilizację, zaciągnął się do służby w tworzonej od podstaw estońskiej marynarce wojennej. Po zakończeniu wojny estońsko-sowieckiej w lutym 1920 r. na własną prośbę został zwolniony ze służby w estońskiej flocie i wiosną 1920 r. wyjechał koleją do Warszawy.

W odrodzonej Polsce Witold Zajączkowski zamierzał kupić majątek ziemski w okolicach Chełmna i prowadzić spokojne życie na wsi. Jednak plany te przekreśliła wojna polsko-bolszewicka. Na początku sierpnia 1920 r., gdy Armia Czerwona zbliżała się do stolicy, Zajączkowski jako ochotnik zaciągnął się do Wojska Polskiego. Wcielony początkowo do 8. Pułku Saperów w Poznaniu, otrzymał przydział do kompanii pontonowej. 9 sierpnia tego r. został przeniesiony do tworzącej się polskiej marynarki wojennej, gdzie przeszedł wstępną weryfikację w stopniu kapitana. Otrzymał przydział do kadry Marynarki Wojennej w Toruniu na stanowisko dowódcy kompanii marszowej 3. batalionu Pułku Morskiego. Jego pododdział nie zdążył jednak wyruszyć na front, gdyż bolszewicy zostali wcześniej rozgromieni w bitwie warszawskiej. Jesienią 1920 r. Pułk Morski rozformowano.

30 stycznia 1921 r., na podstawie dekretu weryfikacyjnego Naczelnego Wodza WP marszałka Józefa Piłsudskiego, Zajączkowski awansował na komandora

podporucznika. W grupie oficerów Marynarki Wojennej wyjechał do Wielkiej Brytanii po odbiór sześciu poniemieckich kontrtorpedowców przyznanych Polsce decyzją Rady Ambasadorów mocarstw Ententy. Wyznaczony dowódcą jednego z nich – kontrtorpedowca ORP «Mazur», wraz z pozostałymi pięcioma jednostkami przybył do Polski we wrześniu 1921 r. Zajączkowski dowodził okrętem do 1 października 1922 r. Równolegle wykładał wiedzę okrętową na uruchomionych w Toruniu na Tymczasowych Kursach Instruktorskich dla Oficerów. 1 października 1922 r., po przekształceniu Kursów w Oficerską Szkołę Marynarki Wojennej został odwołany ze stanowiska dowódcy «Mazura» i objął funkcję pomocnika komendanta szkoły ds. Wyszkolenia. Jego zasługą było opracowanie struktury organizacyjnej szkoły (od 1924 r. naukę przedłużono z dwóch do trzech lat) i programów nauczania oraz dobór fachowej kadry dydaktycznej. W 1926 r. w Toruniu Witold Zajączkowski opublikował wówczas pierwszy polski podręcznik dowodzenia okrętem pt. «Wiedza okrętowa».

W okresie od 25 lutego 1927 r. do września 1939 r. dowodził Flotyllą Pińską (od 1931 r. Flotyllą Rzeczną). Jego zasługą było przekształcenie zaniedbanej Flotylli w pełnowartościową jednostkę bojową poprzez podniesienie dyscypliny i wyszkolenia taktycznego marynarzy, utrzymywanie jednostek pływających we właściwym stanie technicznym oraz popieranie nowatorskich rozwiązań organizacyjno-technicznych. Z inicjatywy Zajączkowskiego zorganizowano Rzeczną Eskadrę Lotniczą wyposażoną w wodnosamoloty, eksperymentowano z nowymi środkami walki (tzw. amunicja chemiczna, miny rzeczne) oraz budowano prototypowe jednostki pływające. W uznaniu zasług 1 stycznia 1929 r. otrzymał awans na komandora porucznika, a 18 lipca 1935 r. – na komandora.

Cieszył się wielkim szacunkiem i popularnością zarówno wśród marynarzy, jak i mieszkańców Pińska. Oto taki epizod związany z Witoldem Zajączkowskim wspomina porucznik Edward Gubała: «W połowie czerwca 1937 r. wręczono mi urzędowe zawiadomienie, że 1 lipca mam stawić się w dowództwie Marynarki »»»



Na spacerze w Brześciu



Witold Zajączkowski jako komandor podporucznik



Trzy motorówki Flotylli Pińskiej na rzece Pinie



Monitory rzeczne ORP «Horodyszcze» i ORP «Warszawa» na rzece Prypeć



Oddział marynarzy Floty Pińskiej podczas procesji z okazji Bożego Ciała. Pińsk, czerwiec 1937 r.

»»» Wojennej w Pińsku, w celu odbycia 6-tygodniowych ćwiczeń wojskowych. [...] Pińsk tętnił życiem tak długo, jak długo stacjonowała w nim rzeczna marynarka, lecz z chwilą wypłynięcia jej na ćwiczenia w okolice Wolańskich Mostów, Horynia czy Dawidgródka – zamierał, jakby zapadał w letargiczny sen. Już następnego dnia po naszym przybyciu, po krótkiej odprawie oficerów w kasynie oficerskim energiczny dowódca Flotylli kmdr Zajączkowski, zwany i znany popularnie jako «książę Polesia», wyznaczył termin podniesienia kotwicy i o określonym czasie przy pięknej, słonecznej pogodzie załogi żegnały równie czule swoje żony i narzeczone.

Dokładnie po 15 dniach ćwiczeń w tym terenie wszyscy wracali z ochotą do domowych pieleszy w Pińsku i z zapadnięciem zmroku nad drewnianymi domkami stolicy Polesia – baza robiła wrażenie wymarłej stanicy kresowej z czasów Skrzetuskiego.

Tego wieczoru pozwoliłem bosmanowi pójść do domu, a sam postanowiłem pozostać na barce, gdzie mogłem załatwić zaległą korespondencję i zająć się lekturą.

Tuż przed północą poderwał mnie na nogi alarm pożarowy bez namysłu więc wyskoczyłem na pokład i od razu spostrzegłem tuż za warsztatami Marynarki Wojennej olbrzymią plamę żywego ognia. Na rozległym placu bazy biegał w kółko młody oficer dyżurny, a obok zbierała się grupa kilkudziesięciu niezdecydowanych marynarzy. Podbiegłem do porucznika i zagadnąłem energicznie:

– Panie poruczniku, gdzie do licha macie swój sprzęt pożarowy?

– Tutaj, w tej szopie, ale jest zamknięta na dwa spusty, a klucze zabrał do domu ogniomistrz. Posłałem już po niego mieszka niedaleko! – odpowiedział podniecony i wyraźnie wystraszony młodzieniec.

– Nie czas na czekanie na klucze, musimy natychmiast wywalić drzwi, wyciągnąć sprzęt i z pomocą marynarzy przystąpić do akcji. Ani chwili do stracenia, patrz pan, iskry lecą na pobliskie zbiorniki z paliwem i na flotyllę.

– Chłopcy – tu zwróciłem się do tłumu marynarzy – wywalać drzwi na moją odpowiedzialność, jeżeli chcemy uratować bazę od zagłady. Dalej! Naciskać mocno!

Mój rozkaz podziałał jak piorun. Liczni krzepcy marynarze rzucili się z zapałem do niszczycielskiego dzieła; wnet też szerokie wrota remizy strażackiej wysadzili z zawiasów i odrzucili na bok. Następnie osiłki wprzęgnęli się do dyszli i wyciągnęli wóz strażacki z pompą oraz dwa wozy z beczkami z wodą i wężami parcianymi. Zrobili to sprawniej niż zaprzęg konny. Stanąłem na ich czele i poprowadziłem do miejsca pożaru. Za bramą bazy skręciliśmy w lewo – wprost na palącą się fabrykę zapałek. Po stu metrach natknęliśmy się na przeszkodę w postaci wysokiego płotu z solidnych bali drzewnych. I tu entuzjazm i kolektywna siła podziałały. Na mój rozkaz pół setki rąk nacisnęło na przeszkodę, która z trzaskiem łamanych pali położyła się gładko na ziemi, tak że można było przeprowadzić wozy. Natychmiast uruchomiono pompę i zaczęto ssać wodę z pobliskiej studni. W ruch również poszły wiadra, którymi czerpano wodę z beczek. Kilku marynarzy z mokrymi workami posłałem na dwa stogi siana stojące między tartakiem a naszą stacją bunkrową. Na zbiorniki z paliwem wysłałem inną grupę marynarzy, aby gasili iskry które gnały w tamtym kierunku z silnym wiatrem. Tylko 300 metrów dzieliło płonącą fabrykę zapałek od flotylli rzecznej i tam również wystawiłem straże. Tak zabezpieczywszy tyły, zaczęliśmy polewać dyktę i deski w sągach stojących bliżej płomieni.

W pewnym momencie stanąłem oko w oko z niewielkiego wzrostu komandorem podporucznikiem, który zaczepił mnie tymi słowami: «Panie poruczniku, czy to pan kazał wyważyć drzwi od remizy i zniszczyć je i w ogóle zastąpił w akcji samowolnie oficera dyżurnego portu, bez porozumienia się z nim?»

– Tak jest, panie komandorze! – odpowiedziałem.

– Wobec powyższego zgłosi się pan do raportu karnego do mnie na godzinę 8 rano w kasynie oficerskim.

– Tak jest, panie komandorze! – zdołałem wykrztusić gdyż aż zatkało mnie z wrażenia.

W tym momencie nadjechały dwie straże pożarne z miasta, a za nimi słychać było dzwonki trzeciej. Złapałem komendanta



Okręt «Hetman Chodkiewicz» na rzece Pina.

straży pierwszego wozu za guzik i poleciłem mu, aby rozwinął długie węże i pompował wodę z rzeki, gdyż wyczerpałem wodę ze studni, a nasze węże są za krótkie. Gdy przekazywałem ten rozkaz poczułem czyjąś rękę na moim ramieniu. Obróciłem się gwałtownie i poznałem wysoką postać księcia Polesia. Zasalutowałem i zameldowałem:

– Panie komandorze, podporucznik rezerwy Edward Gugała melduje posłusznie, że zabezpieczył bazę przed ogniem i obecnie próbuje ugasić ogień w tartaku.

– Tak, widzę to, gdyż obserwuję akcję od jakiegoś czasu. Wszystko w porządku, jeśli chodzi o nas. Obecnie, kiedy zjawiły się straże miejskie i weszły do akcji, może pan zwolnić naszych marynarzy od udziału w gaszeniu fabryki i przerzucić na teren bazy. Dziękuję panu.

Powiedziawszy to, podał mi rękę, a następnie znikł z pola widzenia.

Przez całą noc trwał wielki ruch w bazie. Gońcy rozbiegli się po całym mieście z pilną wiadomością, że o godzinie 7 rano wszyscy oficerowie mają stawić się w Kasynie Garnizonowym na rozkaz dowódcy. Jeszcze dymiły zgliszcza spalonej doszczętnie fabryki, gdy kmdr Zajączkowski punktualnie zjawił się na podium w wielkiej sali kasyna. [...] Gdyby nie przerażająca mnogość niecenzurowanych epitetów, które sypały się na głowy oficerów razem z wyrazami oburzenia na rozprężenie, niesubordynację, brak odpowiedzialności itp., przytoczyłbym mowę kmdra Zajączkowskiego in »»»

»»» extenso... Niestety cenzura miałaby tu swoje prawa, a szkoda!

Swoje wystąpienie zakończył on tymi słowy: «Wstydzę się za siebie i za was, że do uratowania naszej bazy wojennej od całkowitej zagłady nie przyczynił się żaden z moich oficerów, a dokonał tego przypadkowo wysłany na ćwiczenia oficer rezerwy, ten który siedzi tam skromnie w ostatnich rzędach. Jemu tylko pragnę złożyć podziękowanie za ofiarną i skuteczną akcję».

W dwie godziny później flotylla pińska w komplecie opuszczała swoją bazę, nie zagrzawszy nawet 24 godzin. Odtąd rozpoczęły się 4-tygodniowe ćwiczenia karne, narzucone przez księcia Polesia. Miał on bowiem swój własny kodeks karny i nie pytał nigdy nikogo o radę lub zdanie.

Kwatermistrz w randze komandora porucznika natychmiast po skończonej odprawie podszedł do mnie, aby odwołać swój rozkaz dotyczący raportu karnego na godzinę 8 rano. Skwitował to powiedzeniem: «Zaszło drobne nieporozumienie i zostało wyjaśnione».

A książę Polesia?

Ten zaraz następnego dnia, tuż po podniesieniu bandery przy Wolańskich Mostach, zaprosił mnie na swój admiralski statek ORP «Admirał Sierpinek» i po serdecznej, długiej i bezpośredniej rozmowie w salonie, zapytał, jakie mam życzenie, które mógłby spełnić dla mnie.

– Jeżeli to jest możliwe, chciałbym opuścić Pińsk o jakieś trzy dni wcześniej, aby być w domu tych kilka dni.

– Nie, panie poruczniku, nie zgadzam się na owe trzy dni, gdyż zasłużył pan na więcej. Dzisiaj wieczorem każę wsadzić pana na pasażerski statek rzeczny «Batory», który dowiezie pana przez noc do Pińska, a rano ma pan dobre połączenie do Gdyni. Jutro wieczorem będzie pan w domu.

Książę Polesia miał gest naprawdę książęcy, gdyż w ten sposób uzyskałem dokładnie 30 dni urlopu płatnego (zarówno żołd, jak i strawne)».

Przed wybuchem II wojny światowej Witold Zajączkowski aktywnie uczestniczył w przygotowaniach do działań bojowych z Niemcami. Był m.in. inicjatorem sformowania Oddziału Wydzielonego rzeki Wisły, w którego skład wchodziło kilka uzbrojonych kutrów Flotylli Rzecznej. W okresie od 30 kwietnia do 15 czerwca 1939 r. pełnił obowiązki dowódcy Obrony Wybrzeża Morskiego, zastępując chorego kontradmirała Józefa Unruga.

Po ataku Niemiec na Polskę Zajączkowski przystąpił do realizacji planu osłony granicy wschodniej, który przekreśliła agresja ze wschodu. Niski stan wód na rzekach uniemożliwiał wycofanie monitorów i statków uzbrojonych na zachód. Działając z rozkazu gen. Franciszka Kleeberga, któremu Flotylla podlegała operacyjnie, Zajączkowski nakazał zatopienie wszystkich jednostek pływających, po czym przyłączył się wraz z marynarzami do przedzierającej się do Warszawy Samodzielnej Grupy Operacyjnej «Polesie». Po kapitulacji pod Kockiem Zajączkowski zdołał się przedrzeć do Warszawy, a następnie przedostał się do Francji.

Na początku stycznia 1940 r. wysłano go do Wielkiej Brytanii z zadaniem organizowania polskiego szkolnictwa morskiego na Zachodzie. Przez swe krytyczne uwagi względem m.in. kontradmirała Świrskiego (kwestionował jego praktyczne podejście do spraw wojenno-morskich, uważając go wyłącznie za teoretyka) nie zyskał uznania w oczach przełożonych.

Po przedostaniu się więc do Zjednoczonego Królestwa Zajączkowski zajmował wyłącznie podrzędne stanowiska (m.in. dowódcy okrętu – bazy ORP «Gdynia»), na których nie mógł w pełni wykorzystywać swych umiejętności. Przyjął dlatego z wielkim entuzjazmem w 1941 r. rozkaz udania się do Kanady i zorganizowania tam akcji werbunku ochotników do wstąpienia w szeregi polskiej armii.

Jak pisze Michał Lipka w artykule «Nieudana misja za Atlantyk», do Kanady wysłano, oprócz Zajączkowskiego tylko jednego oficera i podoficera – mieli oni odbywać spotkania z przedstawicielami kanadyjskiej marynarki, pisać propagandowe artykuły, przygotowywać materiały radiowe i telewizyjne, przeprowadzać całościowo proces werbunkowy (wstępne badania ochotników, szkolenie ogólnowojskowe oraz skoszarowanie). Jak widać pracy było zbyt dużo jak na trzy osoby.

Jeszcze gorzej początkowo przedstawiała

się sytuacja z werbunkiem w Stanach Zjednoczonych – oficer, który miał udać się na miejsce... nie dostał wizy wjazdowej. Nie zważając jednak na te trudności komandor Zajączkowski zabrał się z właściwą sobie werwą do pracy, wysyłając co chwila raporty do admirała Świrskiego, w których opisywał swą trudną sytuację i prosił o przesłanie dodatkowych ludzi do pomocy.

Niestety Świrski pozostawał głuchy na jego raporty. Nie udało się również uzyskać z polskiego dowództwa jasnej informacji, jacy konkretnie specjaliści są potrzebni, zatem sam proces wstępnego szkolenia musiano ograniczyć do podstawowych zagadnień. Pomimo ogromu włożonej przez Misję Morską pracy, chęć wstąpienia w szeregi Polskiej Marynarki Wojennej wyraziło tylko 21 kandydatów.

Pewnej poprawy sytuacji, jeśli chodziło o nabór ochotników, Zajączkowski upatrywał w rozpoczynającej się akcji werbunkowej w Stanach Zjednoczonych. Niestety i tu spotkał go zawód. Młodzi ludzie nie chcieli porzucać swego wygodnego życia i brać udziału w działaniach wojennych. Chęć wstąpienia w szeregi Marynarki wyrażali przeważnie albo starsi ludzie (dawni emigranci, którzy czuli się związani ze swoją dawną ojczyzną) lub, jak to ujął w swym raporcie Zajączkowski, «element niepożądany», czyli różnego rodzaju awanturnicy. Dodatkową barierę stanowił język, gdyż pewna cześć ochotników nie potrafiła wypowiedzieć ani słowa w języku polskim. Napływ ochotników zwolnił jeszcze bardziej po japońskim ataku na Stany Zjednoczone. Wobec stale rosnących kosztów (miesiąc działania Misji Morskiej kosztował bowiem 100 tysięcy dolarów kanadyjskich) i słabych wyników (ostatecznie udało się zarejestrować 105 kandydatów do Marynarki) zapadła decyzja o likwidacji Misji Wojskowej.

Po powrocie do Wielkiej Brytanii Witold Zajączkowski pełnił funkcję komendanta Komendy Morskiej «Południe» zlokalizowanej w Plymouth oraz dowódcy 2 Dywizjonu Kontrtorpedowców. Po zakończeniu działań wojennych i rozwiązaniu polskiej Marynarki Wojennej odszedł z czynnej służby i wyemigrował do Kanady. Początkowo prowadził niewielką farmę w Keswick, a następnie przeniósł się do Toronto, gdzie pracował w biurze prawniczym.

W lutym 1965 r. Naczelny Wódz, generał broni Władysław Anders mianował go kontradmirałem, lecz komandor Zajączkowski odmówił przyjęcia tego awansu.

Zmarł «Książę Polesia»19 grudnia 1977 r. w Toronto. Został pochowany na cmentarzu w Mount Pleasant. Pozostawił wspomnienia «Lata młodości i wojna światowa na Bałtyku» wydane w Toronto.

PRZYGOTOWAŁ
DYMITR ZAGACKI





Pińsk w okresie międzywojennym

Z DZIEJÓW BRZESKIEGO

W Brześciu są historyczne miejsca, zetknięcie się z przeszłością których robi głębokie wrażenie. Budynek byłego więzienia śledczego w Brześciu jest świadkiem smutnych wydarzeń, które miały miejsce w naszej historii.

Więzień zazwyczaj nie ma na liście zabytków miasta, lecz goście, a





Karcer

także mieszkańcy Brześcia zawsze będą nadawali temu miejscu szczególne znaczenie ze względu na jego tajemniczość i okrucieństwo. Temat instytucji penitencjarnych obecnie wzbudza duże zainteresowanie. Więzienia-muzea bardzo się wyróżniają na tle dużej ilości krajoznawczych, wojskowych muzeów, memorialnych mieszkań i galerii.

W połowie lat 30. podjęto decyzję o budowie nowego budynku więzienia, na miejscu starego, które zostało zburzone. W kwietniu 1937 roku według francuskiego projektu rozpoczęto budowę, którą w roku 1939 prawie zakończono. Wysokość ścian otoczonych kolczastym drutem wynosiła 5-6 metrów, grubość 0,6 metra. Także wzniesiono cztery betonowe wieże z karabinami maszynowymi.

Był to czteropiętrowy budynek, który zawierał 130 celi wspólnych, 39 pojedynczych o ogólnej powierzchni 263 metry. Ogólna powierzchnia więzienia wynosiła 3116 metrów, w tym także 28 karcerów, 2 cele dla skazańców, szpital liczący 25 łóżek, łaźnia mieszcząca 30 osób i 9 śledczych gabinetów. Na parterze była kuchnia i pokój do przyjmowania paczek. Więźniowie pracowali w warsztatach szewskich, krawieckich, tokarskich, stolarskich i kuźni. W więzieniu był zainstalowany system alarmowy.

WIĘZIENIA

Złom historii, podobny do tego, który się odbył jesienią 1939 roku, początek II wojny światowej, pogrążył w otchłań cierpień całe narody i państwa.

Pod koniec 1939 roku zaczęły powstawać podziemne organizacje. Za zadanie miały zwiększyć liczbę ugrupowań konspiracyjnych, stworzyć arsenał broni, przygotować zbrojne powstanie w celu przywrócenia niezależnego państwa polskiego. Ich praca została natychmiast zauważona przez organy bezpieczeństwa BSRR.

Od roku 1940 i w pierwszej połowie roku 1941 w Brześciu i na przedmieściach aresztowano około 1200 osób. Prawie wszystkie sprawy (95 %) były rozpatrywane przez tzw. Kolegium Specjalne NKWD. Ze wspomnień pułkownika Wojska Polskiego Władysława Chudego, który w latach 1939-1940 znajdował się w brzeskim więzieniu: «W końcu marca z celi zaczęto wywozić moich kolegów. Wszystko się odbywało bez procesu sądowego. Nikt nie ogłaszał żadnego wyroku. Do celi wchodził oficer NKWD i czytał 2-4 nazwiska z listy. Więcej tych osób nie widzieliśmy».



Wśród więźniów był Matys Zabłud, deputowany Rady Brzeskiej, aktywny działacz społeczny i fotograf. Zdjęcia, zrobione w jego studiu fotograficznym, przechowywane są do dnia dzisiejszego w wielu albumach rodzinnych mieszkańców Brześcia.



Masywne zamki na drzwiach do cel więziennych

Dziennik NKWD, zawierający liczbę osadzonych w więzieniu, podaje, że 10 czerwca 1941 roku w więzieniu brzeskim pod numerem 23 (korpus nr 1), które mieści 2680 osób, karę odbywało 3807.

W tym samym okresie w więzieniu wewnętrznym NKWD obwodu brzeskiego «Brygidki» (korpus nr 2), budynek byłego klasztoru na terytorium Umocnienia Kobryńskiego Twierdzy Brzeskiej, znajdował się pod aresztem Stanisław Koralkiewicz, który w latach 1995-2005 pełnił funkcję prezesa Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

W latach 1941-1942 w Brześciu działało 15 podziemnych organizacji: «Komenda Obrońców Polski», «Narodowa Organizacja Wojskowa», «Związek Walki Zbrojnej» i inne. Po 22 czerwca 1944 roku podziemie, które miało ponadto charakter antyradziecki, zaczęło aktywnie działać. W tym samym czasie zaczęły powstawać grupy bojowe oraz organizacje walczące z okupantem hitlerowskim. W Brześciu w końcu lipca 1941 roku powstała młodzieżowa podziemna grupa «Szańca», a także sztab na czele ze Zbigniewem Słoczyńskim.

Wśród osadzonych 22 czerwca 1941 roku w więzieniu znajdował się młody ksiądz Kazimierz Świątek, w przyszłości pierwszy białoruski kardynał kościoła Rzymsko-Katolickiego. 8 kwietnia 1939 roku po ukończeniu seminarium otrzymał »»»



ks. Kazimierz Świątek proboszcz parafii w Prużanie, 1944r.



Budynek brzeskiego więzienia w latach 1941-1944



Korytarz więzienia przed rekonstrukcją

»»» święcenia kapłańskie. Następnie został skierowany jako wikariusz do parafii prużańskiej. 26 września 1939 roku został aresztowany za «szpiegostwo» i skazany na karę śmierci, wykonanie której uniemożliwiło wkroczenie wojsk niemieckich w 1941. Powrócił do Prużany.

W lipcu 1941 roku mury więzienia brzeskiego były świadkiem początku zagłady Żydów jeszcze przed utworzeniem getta. 24 lipca 1941 naczelnik policji bezpieczeństwa i SD raportował do

Ksiądz Stanisław Łazar, Brześć, 1978 r.





Za tymi drzwiami znajduje się pomieszczenie, gdzie naziści w latach 1941-1944 rozstrzeliwali więźniów

Berlina o masowych akcjach wyniszczenia mieszkańców miasta Brześć narodowości żydowskiej: «W Brześciu Litewskim przez policję porządkową przy wsparciu jednostek Einsatzgruppen zlikwidowano 4435 osób, wśród których było 400 Rosjan i Białorusinów».

Wiosną 1942 roku zaczęła aktywnie działać polska organizacja dywersyjna «Wachlarz», celem powołania której było prowadzenie akcji dywersyjnej na szlakach aprowizacyjnych armii niemieckiej.

W lutym 1943 roku większa część grupy polskiego podziemia w Brześciu, w tym kilku członków «Wachlarza», została aresztowana przez gestapo.

Ze wspomnień księdza Grzegorza Rosika wynika, że w lutym 1943 roku przez Niemców został aresztowany dziekan, przeor kościołów Brześcia, Jerzy Urbanowicz, który do 15 czerwca 1943 znajdował się w więzieniu, gdzie później został rozstrzelany. Także aresztowano komendanta brzeskiego oddziału «Wachlarza» Aleksandra Kiwale. W sumie rozstrzelano 24 osoby.

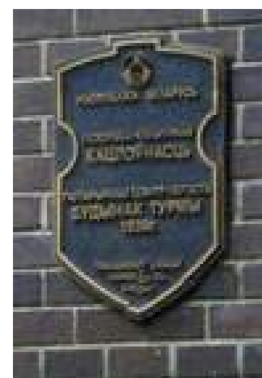
Od roku 1938 ksiądz Stanisław Łazar służył w Brześciu, został aresztowany w roku 1943 za tajne nauczanie języka polskiego, w więzieniu spędził pół roku. W roku 1948 został oskarżony przez organy władzy radzieckiej. W nocy z 28 na 29 sierpnia 1948 roku ks. Stanisław został aresztowany za niezgłoszenie o istnieniu podziemnej polskiej organizacji i krytykę kołchozów. Został skazany na 10 lat. W więzieniu brzeskim spędził 10 miesięcy, później trafił do łagru w Komi, ASRR.

W styczniu 1944 roku gestapo zadało poważny cios wywiadowi Armii Krajowej. Aresztowano i rozstrzelano kilkadziesiąt osób.

Wiosną 1944 roku znów się rozpoczęły masowe areszty. 26 kwietnia tego samego roku do gestapo trafił prawie cały sztab Poleskiego okręgu AK, który się znajdował we wsi Skoki. Wszyscy zostali rozstrzelani w więzieniu brzeskim.

Wszyscy polegli pochowani są na ziemi brzeskiej.


Kraty na oknach



W latach 50. Rząd BSRR podjął decyzję o zamknięciu więzienia i przekazaniu budynku na potrzeby zakładu produkcji odzieży. Budynek, który do chwili obecnej zachował swój pierwotny wygląd, jest obiektem historycznego i kulturowego dziedzictwa.

IWAN CZAJCZYC,
TŁUM. JULIA MARCZUK



Sergiej Basow, Brześć
Halina Kaczanowska, Wołczyn

ORGANIZACJA I PEŁNIENIE SŁUŻBY OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W WOŁCZYNIE POWIATU BRZESKIEGO WOJEWÓDZTWA POLESKIEGO

Około 15 lat temu do rąk trafiło zdjęcie z archiwum rodzinnego Szpaginych zrobione w drugiej połowie lat 30. ubiegłego stulecia. Na zdjęciu jest przedstawiona grupa osób w mundurach, ustawionych przy budynku, który się zachował do dziś, pod szyldem «Remiza Straży Pożarnej». Na zdjęciu dobrze widać, że mężczyźni stoją i siedzą obok wózka z pompą pożarową, prostym mechanizmem, który nie raz pomagał ratować ludzi.

Ciężko już dokładnie, nie myląc się,





wymienić imiona i nazwiska wszystkich, którzy są na tym zdjęciu. Czas wymazuje pamięć tym, którzy kiedyś znali te osoby. Jednak najstarsi mieszkańcy Wołczynia poznali ich, w tamtych czasach ci młodzi panowie wykonywali bardzo ważny zawód, dlatego nie można było o nich zapomnieć. W dolnym rzędzie od lewej strony na zdjęciu siedzą: Grzegorz Jarmoluk, Włodzimierz Tarasiuk, Marian Korżeniewski, Stefan Gucik, Konstanty Tulej, Emilian Sojko, Afanasij Siemieniuk; stoją: Iwan Kuczur, Włodzimierz Makarewicz, Nikołaj Kosiuk, Stefan Sawańczuk, Michał Miszczuk, Sofronij Kosik, Kuchto, Jakubuk...

Te same twarze można spotkać i na drugim zdjęciu w towarzystwie młodych kobiet, siedzących na samochodzie, w takich samych mundurach. Na zdjęciu dobrze widać, że samochód stoi za dużą grupą ludzi, najprawdopodobniej, strażacy zabezpieczają masową imprezę.

* W roku 2010 krajoznawca z sąsiedniego Janowa, Ryszard Bos, wydał książkę «90 lat Ochotniczej Straży Pożarnej w Janowie Podlaskim 1919 – 2009», gdzie również było opublikowane zdjęcie Straży Pożarnej.

Żaden z przedstawionych na tym zdjęciu nie mógł wtedy wiedzieć, że los ugotował im tylko parę lat spokojnego życia. Już zapomnieli okropności krwawej wojny, »»»



»»» uchodźstwa i masowego głodu, pracowali i wierzyli w odrodzenie swojej ziemi. Żyło się w tamtych czasach niełatwo. «...W ogóle nikt nie może mieć łatwego życia – uczyli młodzież starsi ludzie – lekką może być tylko śmierć, jeżeli tego zasłużyłeś...». Oczywiście młodzi ludzie chcieli, żeby tak to było, ale nie przyspieszali śmierci, bronili siebie, swoich rodzin, gospodarki przed niebezpieczeństwem.

Wkrótce wojna zmieni wszystko, ludzi, państwo, wiarę, wartości i ideały życiowe. Wołczyn na zawsze się zmieni, tragicznie się kończy historia żydowskiego miasteczka. Ale wszystkie te zmiany nie dotkną Straży Pożarnej, głównym zadaniem której jest ochrona życia podczas walki z pożarami, nie zważając na władzę i ideologię państwa.

Ogień i pożar są nieprzewidywalnymi katastrofami, które przynoszą tylko straty i nieszczęścia, tym bardziej w tamtych czasach, kiedy zboże na polu, siano, drewniane domy i budynki gospodarcze, pokryte słomianym dachem lub gontem, mogły natychmiast zapalić się od pioruna, niesprawnego pieca lub przez ludzką nieostrożność.

Oczywiście, że straty powstałe w wyniku pożaru starała się zmniejszyć każda władza, przyjmując postanowienia, podejmując działania służące tworzeniu nowych oddziałów dla walki z ogniem.

Jeden z dokumentów, który jest przechowywany w Państwowym Archiwum Obwodu Brzeskiego, to «Statut Stowarzyszenia Ochotniczej Straży Pożarnej», pomógł zobaczyć, w jaki sposób była organizowana i pełniona służba w Straży



Pożarnej w Wołczynie w latach 30. ubiegłego stulecia.

Wzór statutu był ustalony przez Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych 14 stycznia 1935 roku. Treść statutu decydowała o charakterze Stowarzyszenia, o jego celach, zadaniach oraz środkach działalności, prawach i obowiązkach członków, organach i systemie zarządzania etc.

Stowarzyszenie miało pewną autonomię i prawną zdolność, mogło zawierać umowy, zaciągać zobowiązania, a także nabywać i przekazywać ruchomy i nieruchomy majątek, zgodnie z obowiązującym prawem. Siedziba Stowarzyszenia znajdowała się w Wołczynie. Obszar działalności obejmował cały Wołczyn i terytorium w promieniu 5 km od miasta.

Stowarzyszenie było członkiem Związku Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej i było zarejestrowane w okręgu wojewódzkim tego Związku.

Zadaniem Stowarzyszenia było:

a) udzielenie pomocy i ratunku w razie pożaru lub innych klęsk, jak również akcji obrony biernej przeciwlotniczej i przeciwgazowej oraz w innych przypadkach przewidzianych ustawą;

b) przeciwdziałanie powstaniu pożarów oraz współdziałanie w tej mierze z władzami administracji rządowej i samorządowej w zakresie, ustalonym przez ustawy i rozporządzenia;

c) współdziałanie z władzami i organami Związku w zakresie spełniania jego zadań i obowiązków;

d) uświadamianie miejscowego i okolicznego społeczeństwa o konieczności i sposobach ochrony przed pożarami i innymi klęskami;

e) wykonywanie wszystkich innych zadań i obowiązków, wynikających z niniejszego statutu oraz z obowiązujących ustaw i rozporządzeń, wydanych w zakresie ochrony przed pożarami i innymi klęskami.

Członkiem Stowarzyszenia mógł być każdy obywatel Państwa Polskiego nienagannej przeszłości, który ukończył 18 lat i był w stanie opłacać składkę członkowską w wysokości 1 zł. rocznie.

Członkowie czynni Stowarzyszenia byli zobowiązani poddać się szkoleniu i egzaminom, zarządzonym przez władze Stowarzyszenia i Związku, na mocy obowiązujących instrukcji i regulaminów, a w szczególności wykonywać obowiązki, nałożone przez ustawy i rozporządzenia.

Ciekawe, że noszenie munduru oraz używania odznak i odznaczeń poza służbą dozwolone było jedynie w czasie świąt i obchodów państwowych i strażackich, w czasie zaś innych świat lub uroczystości – za zezwoleniem Prezesa Zarządu lub Naczelnika Straży.

Członkowie Straży Pożarnej byli zobowiązani poddać się karnie rozkazom i zarządzeniom Naczelnika Straży lub jego Zastępcy, a także brać czynny udział w zarządzonych ćwiczeniach i przeszkoleniach Straży. W razie alarmu przybywać niezwłocznie na oznaczone miejsce zbiórki w należnym umundurowaniu i uzbrojeniu oraz nie opuszczać wyznaczonego posterunku bez zezwolenia bezpośredniego przełożonego. Również członkowie Straży powinni byli być ubezpieczeni przez Zarząd Stowarzyszenia od wypadków lub śmierci podczas pełnienia obowiązków służbowych – w instytucji, wskazanej przez Związek Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Oczywiście, do normalnego funkcjonowania potrzebne były pieniądze, które Stowarzyszenie miało ze składek członkowskich i dobrowolnych datków mieszkańców gminy Wołczyn, ze subwencji, przewidzianych prawem dla ochrony przeciwpożarowej, »»»


STATUT

»»» a także z dochodów z nieruchomości, odsetek, przedsiębiorstw i przedsięwzięć organizowanych na cele Straży Pożarnej.

W archiwum przechowywane są dokumenty, które zawierają bardzo ciekawe dane dotyczące «pozabudżetowych» źródeł finansowania. Oto niektóre z nich:

ZARZĄD
Och. Straży Pożarnej
w Wołczynie

Do
Pana Starosty Powiatowego
w Brześciu n/B.

Zarząd Ochotniczej Straży Pożarnej w Wołczynie, pragnąc zasilić fundusze swoje, zamierza wystawić w dniu 7 b.m. o godz. 19 w lokalu Domu Ludowego w Wołczynie sztukę Gordina p.t. «Chłopskie Wesele», którą odegrają członkowie organizacji «Freiheit» w Wołczynie. Po przedstawieniu odbędzie się zabawa taneczna. Cena biletów od 20 do 99 gr. Odpowiedzialnym gospodarzem będzie Konstanty Tulej, członek Zarządu O.S.P.Wołczyn. Przedkładając egzemplarz sztuki «Chłopskie Wesele» Zarząd O.S.P. w Wołczynie uprasza o wydanie zezwolenia na wystawienie wymienionej sztuki i na urządzenie zabawy tanecznej.

Zał. 1

Prezes
/ J.W. Krajewski / podpis /
/ okrągła pieczęć: Zarząd Och. Straży Ogniowej w Wołczynie /

Sekretarz
/ W. Michniewicz / podpis /

/ Stempel z napisem:
Starostwo Pow. Brzeskiego. Otrzymano 4 stcz. 1934. №. III /

Do
Pana Starosty Powiatowego
w Brześciu n/B.

Zarząd Ochotniczej Straży Pożarnej
w Wołczynie, pow. Brzeskiego

Podanie

Zarząd Ochotniczej Straży Pożarnej w Wołczynie uprzejmie prosi Pana Starostę o zezwolenie na odegranie jednoaktowej farsy p.t. «Spokojny Lokator» w dniu 8 stycznia 1934 roku, która odbędzie się w lokalu szkoły powszechnej w Nowosiółkach gminy Wołczyn, po zakończeniu przedstawienia zabawa taneczna. Cena biletów od 75 gr. do 25 gr. Odpowiedzialnym gospodarzem będzie Helena Siedlikowska, Komendantka Oddziału Samarytańsko-Pażarniczego w Wołczynie. Początek o godz. 19-ej.

Prezes / podpis /
/ okrągła pieczęć: Zarząd Och. Straży Ogniowej w Wołczynie /

Sekretarz
/ W. Michniewicz / podpis /

/ Stempel z napisem: 16 stcz. 1934 /

Do
Pana Starosty Powiatowego
w Brześciu n/B.

Ochotnicza Straż Pożarna w Wołczynie uprzejmie prosi Pana Starostę o łaskawe zezwolenie na odegranie sztuczki p. t. «Consilium Facultatis» w dniu 21. I. 1934 roku w lokalu Domu Ludowego oraz urządzenie zabawy tanecznej. Cena biletów od 80 gr. do 25 gr. Odpowiedzialnym za porządek będzie p. Łosicki Feliks.

Prezes / podpis /
/ okrągła pieczęć: Zarząd Och. Straży Ogniowej w Wołczynie /
Sekretarz / podpis /

Ochotnicza Straż Pożarna
w Wołczynie
Powiatu Brzeskiego
w Brześciu n/B

Wołczyn dnia 30. IV. 1934 roku

Do
Pana Starosty Powiatowego

Ochotnicza Straż Pożarna w Wołczynie uprzejmie prosi Pana Starostę o łaskawe zezwolenie na urządzenia przedstawienia w dniu 6 maja b. r. o godzinie 20-ej, które odbędzie się w Remizie Strażackiej, p. t. «Testament», komedia w trzech aktach F. Silesiusa. Cena biletów od 30 gr. do 60 gr. oraz prosimy o zezwolenie w tymże samym dniu na urządzenie zabawy tanecznej. Odpowiedzialnym gospodarzem będzie druhna Helena Siedlikowska, Komendantka Oddziału Samarytańsko-Pażarniczego w Wołczynie. Całkowity dochód przeznaczony zostanie na potrzeby Straży Pożarnej w Wołczynie.

Prezes
/ J. W. Krajewski / podpis /
/ okrągła pieczęć: Zarząd Och. Straży Ogniowej w Wołczynie /
Sekretarz
/ W. Michniewicz / podpis /

Minął czas, wydarzenia, o których mówią dokumenty, przeszły do historii. Odeszli już prawie wszyscy, którzy żyli w tamtych czasach. Ale Straż Pożarna w Wołczynie do dziś czuwa w tym samym budynku, przed bramą którego zostało zrobione pierwsze zdjęcie. Technika pożarnicza się zmieniła, budynek nie raz podlegał remontowi, lecz nie zmienili się ci, którzy zawsze są gotowi ryzykować swoim zdrowiem i życiem w walce z ogniem – i to jest najważniejsze.

Autorzy chcą podziękować kierownictwu i pracownikom naukowo-metodycznej instytucji «Państwowe Archiwum Obwodu Brzeskiego», przede wszystkim p. Lidii Romanowicz, wszystkim mieszkańcom wsi Wołczyn, a także Irenie Gordziejuk, Dymitrowi Paszynowi, Stanisławowi Czuczkowowi, za pomoc w badaniu i przygotowaniu materiału do publikacji. »»»

TŁUM. JULIA MARCZUK




РЕСПУБЛИКА
БЕЛАРУСЬ
МИНИСТЕРСТВО ПО ЧРЕЗВЫЧАЙНЫМ СИТУАЦИЯМ
БРЕСТСКОЕ ОБЛАСТНОЕ УПРАВЛЕНИЕ
КАМЕНЕЦКИЙ РАЙОННЫЙ ОТДЕЛ ПО ЧРЕЗВЫЧАЙНЫМ СИТУАЦИЯМ
ПОЖАРНЫЙ
АВАРИЙНО-СПАСАТЕЛЬНЫЙ
ПОСТ №12 Д. ВОЛЧИН







MARIA ANNA
Z KSIĄŻĄT RADZIWIŁŁÓW

Radziwiłłowie – najbardziej znany i najbogatszy ród w Wielkim Księstwie Litewskim, który przez długie stulecia odgrywał jedną z najważniejszych ról w rozwoju kultury czołowych krajów Europy. Z Radziwiłłów wywodzili się wybitni politycy, działacze religijni i kulturalni, a także znakomici wodzowie wojenni. Ten ród nie miał sobie równych w historii Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Maria Anna z rodu Radziwiłłów, wnuczka Marcina Mikołaja Radziwiłła, potomka Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Czarnego, działacza politycznego Wielkiego Księstwa Litewskiego, urodziła się w roku 1790 w Klecku. Jej życie było ściśle związane z Brześciem, gdzie zachował się jej nagrobkowy pomnik.



Mikołaj Radziwiłł Czarny

Dzięki wsparciu Mikołaja Radziwiłła Czarnego i z jego inicjatywy w naszym mieście w roku 1553 została założona pierwsza na terytorium współczesnej Białorusi drukarnia. W roku 1563 w brzeskiej drukarni została wydana znana na całym świecie Biblia Radziwiłłowska (Biblia brzeska). Jej głównym fundatorem był Mikołaj Radziwiłł Czarny, zwolennik antytrynitaryzmu.

Marcin Mikołaj Radziwiłł (11 listopada 1705 r., Cimkowicze – 11 stycznia 1782 r., Słuck) – przedstawiciel rodu Radziwiłłów herbu Trąby. Syn Jana Mikołaja Radziwiłła i Doroty Henryki z Przebendowskich. Po ojcu odziedziczył liczne majątki ziemskie, między innymi Kleck i Ostrów.



Dziadek Anny Marii
Marcin Mikołaj Radziwiłł

Ordynacja nieświeska – jeden z trzech majoratów, na które Mikołaj Radziwiłł Czarny (1515-1565) podzielił swoje posiadłości. Założycielem tej ordynacji był starszy syn, Mikołaj Krzysztof «Sierotka». W rękach potomków w linii męskiej majorat pozostał do II wojny światowej. Młodsi synowie Mikołaja Czarnego utworzyli dwie inne ordynacje, klecką i ołycką.

Wiadomo, że pierwszym mężem Marii Anny był hrabia Aleksander Stanisław Rufin Bniński herbu Łódź, senator i kasztelan Królestwa Polskiego. Ślub się odbył 25 maja 1816 roku w kościele Świętego Andrzeja Apostoła w Warszawie. Mieli dwie córki, Janinę (1817 r.ur.) i Zofię Izabellę (1822 r. ur.). Niestety, o losach Janiny nic nie wiadomo. Zofia Izabella w roku 1843 wyszła za mąż za hrabiego Seweryna Grabowskiego (1813-1863), kamerjunkiera dworu rosyjskiego, z którym miała syna Michała Maksymiliana (1845-1918).



Donosi się krewnym i znajomym, że dnia 15 października r. 1875 w dobrach Czarnowczycach na Litwie zakończyła żywot doczesny żona ś. p. kasztelana i senatora

Aleksandra hr. Bnińskiego

z domu

ks. Radziwiłłówna

w 83 roku życia.

Nekrolog o śmierci Marii Anny // *Źródło: etrzcinski@hotmail.com / Magazyn Poznański 1875.11.16 r. 17 nr 262.*

W tabelach genealogicznych domu Radziwiłłów wspomina się o pierwszym małżeństwie Marii Anny, o drugim małżeństwie z Bojarowkim nic nie wiadomo.

Być może grób Marii Anny z rodu Radziwiłłów w Brześciu jest jedynym grobem przedstawicieli tego rodu, znajdującym się nie w rodowej krypcie w Nieświeżu, a na nekropoliach!

IWAN CZAJCZYC,
TŁUM. JULIA MARCZUK



Maria Anna z książąt Radziwiłłów

Urszula Julita Adamska

OJCIEC I SYN



Joachim Chreptowicz

Kiedy Polska i Wielkie Księstwo Litewskie stanowiły Rzeczpospolitą Obojga Narodów, a było to jeszcze w połowie XVIII wieku, i zbliżał się czas sejmików nie istniał inny temat w żadnych siole ani mieście tylko ten, jeden jedyny: kogo wybiorą spośród zaproponowanych wcześniej kandydatów.

Zwykle, podobnie jak w dzisiejszych wyborach w Polsce, no, może nie tak nowocześnie i marketingowo, ale w każdym razie dość podobnie, o wpływy i przewagę walczyło kilka partii. Na wschodnich rubieżach prym wiodło właśnie ugrupowanie wojewody nowogródzkiego, któremu przyszło zmierzyć się z niemniej znaczącym Joachimem Chreptowiczem przedstawicielem słynnego rodu herbu Odrowąż. Wśród pierwszej rangi kandydatów znalazł się wówczas on, syn Marcyana, starosty werbelskiego i Reginy Wojnianki, podczaszanki nowogródzkiej, ubiegający się o poparcie stronnictwa. Przeciwko niemu wystawiono dwóch kontrkandydatów, nieco bogatszych i zdaje się dosyć wpływowych. Związki rodowe, majątki oraz stosunki decydowały o przyznawanych głosach na rzecz tej czy innej opcji politycznej. Większość jednak okazała mu zaufanie i zdecydowała się zagłosować na jego partię. Kiedy zwyciężył, wyrażał poparcie dla Króla Rzeczpospolitej Obojga Narodów – Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Joachim Królowi służył wiernie, sprawując kolejno urzędy: stolnika nowogródzkiego, wielokrotnie będąc obierany – posłem na sejm, konsyliarzem w Radzie Nieustającej, w czasie Sejmu Wielkiego – marszałkiem, a po ogłoszeniu ustawy o miastach wolnych w Rzeczypospolitej został ministrem spraw zagranicznych. Kiedy zaś został mianowany sekretarzem wielkim litewskim i podkanclerzem litewskim, poddał delegacji sejmowej projekt i zarysy utworzenia Komisji Edukacji. Wówczas pełnił funkcję (pewnie przez skromność) zaledwie jej członka. Objęcie przez niego wydziału wszystkich szkół Wielkiego Księstwa Litewskiego poskutkowało reformą szkolnictwa. W pokrewnym celu założył także Chreptowicz bibliotekę gromadząc dzieła najwybitniejszych przedstawicieli literatury począwszy od starożytnych, skończywszy na jemu współczesnych.

I kiedy tylko objął majątek w Szczorsach przewiózł tam książki z Warszawy, by stworzyć szersze zaplecze naukowe na obszarze wschodniej Rzeczypospolitej. Był ponadto Chreptowicz aktywny towarzysko zapraszając całą «śmietankę towarzyską» okolicy i «sypiąc» anegdotami i opowiastkami z przeszłości. Czasami, jednak przejawiał tzw. «słabości duszy», co przejawiało się chęcią ucieczki «dokąd oczy poniosą», najpierw z Grodna do Niemiec a następnie przez Bawarię i Tyrol do Rzymu. Podróżował następnie po całej Europie (ale to już temat na osobny artykuł), co wynikało przypuszczalnie raczej z chęci poznania nowych krajów, tradycji i zwyczajów, jak sam o tym pisał, poratowania własnego zdrowia, nie zaś jak wspomina czasem historiografia z chęci zdrady Ojczyzny w sytuacji tej, czy innej konfederacji. Z drugiej strony, czynnie uczestniczył w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk po powrocie do Polski osiadając w Warszawie do końca swoich dni, zaś majątek swój oddając z powodu słabego zdrowia jedynym pozostałym przy życiu dwóm synom.

Dziś spoczywa Joachim w kościele kapucynów. Chociaż jest jednym z najwybitniejszych obywateli z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego z uwagi na krzewienie w narodzie «kaganka postępowej oświaty», obecnie trochę w Polsce zapomniany i niedoceniony.

Wśród jego licznych zasług należy także wspomnieć, że osobiście nadzorował założenie fabryki żelaznej i warzelni; zreformował stosunki postfeudalne we własnym majątku wobec chłopstwa, co przełożyło się w praktyce na nadanie chłopom

faktycznej wolności. O jego serdeczności i poprawnych relacjach krążyły legendy. Znany był powszechnie z dbałości o ludzi w majątku. Nie słyszano nigdy, by kogoś źle potraktował. Mądry, rozumny, kochający swoją ziemię, ceniony za otwartość i szczodrobliwość – te piękne cechy charakteru przekazał w genach synom i córce, a zwłaszcza najstarszemu z rodzeństwa, Adamowi.

Od najmłodszych lat Joachim umacniał Adama w hartowaniu mężnego ducha, dodawał odwagi, dbał o wykształcenie i upewniał w słuszności obranej przez niego drogi zachęcając do naśladowania przede wszystkim w błyskotliwej karierze od stolnika do ministra spraw zagranicznych, którego stanowiska choć nie osiągnął Adam, nadrobił jednak niemniej zaszczytnymi funkcjami, które sprawował na rzecz drogiej Rzeczypospolitej. Po podróżach odbytych z bratem Ignacym do Getyngi, Hamburga, Lubeki i Kopenhagi, służył najpierw w wojsku jako rotmistrz kawalerii narodowej. Następnie wybrano go posłem nowogrodzkim na drugą kadencję sejmu czteroletniego, gdzie przemawiał w sprawie ściślejszej jedności obojga narodów. Później, już w czasie powstania kościuszkowskiego pełnił funkcję adiutanta generała Mokronowskiego. Potem, podobnie jak ojciec, brał udział w pracach komisji edukacyjnej w charakterze wizytatora szkół na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego skąd zdawał ze wszystkiego sprawę ojcu, który wówczas znajdował się w Warszawie.

Ważnym epizodem w życiu Adama jest mianowanie go przez cesarza Francji Napoleona Bonapartego na członka Izby Administracyjnej w Wilnie w wydziale żywności, magazynów i szpitali w czasach Księstwa Warszawskiego. Zaś kiedy w spuściźnie po ojcu przejął majątek w Szczorsach wraz z biblioteką uzupełnił ją dziełami Adama Mickiewicza, Władysława Syrokomli, czy innymi cennymi zbiorami wśród których: manifest do kozaków, listy Chmielnickiego, czy dziennik M. Mniszchówny. Niestety księgozbiór liczący około piętnastu tysięcy woluminów został w większości przewieziony do Kijowa. Czyli obecnie stanowi własność innego państwa.

Na dziesięć lat przed śmiercią został Adam Chreptowicz Prezesem Towarzystwa Dobroczynności. Okres ten w życiu najstarszego spośród dzieci Joachima stanowi nieustanną dbałość, podobnie jak ojciec o jego poddanych, których traktował na równi, zakładając dla nich między innymi kasę oszczędnościową, budując szkoły dla biedniejszych oraz kontynuując reformatorski «duch» ojca i jednocześnie z pokorą pochylając się nad najbardziej potrzebującymi. Spośród wielu pamiątek po kampanii napoleońskiej znajduje się pewien szkic wykonany piórkiem autorstwa Rustena przedstawiający młodego adiutanta. Jest nim nasz bohater, syn Joachima, Adam Chreptowicz. Na przedstawionym obrazie Adam trzyma w swej dłoni malutką rączkę zabłąkanego



Adam Chreptowicz

dziecka, na polu bitwy. Drugą rękę podaje podnoszonemu z ambulansu rannemu żołnierzowi, który też chce powierzyć się jego opiece. W tym symbolicznym i bardzo wymownym geście żołnierz i dziecko okazują ufność wobec zawsze gotowemu pomóc w potrzebie Chreptowiczowi – filantropowi. Obraz ten niezwykle ekspresyjny i sugestywny stanowi dowód na to, jak bezsensownym zjawiskiem jest każda wojna dotykająca nie tylko żołnierzy, ale zwłaszcza istoty najbardziej niewinne jakimi są dzieci.

Zarówno działalność Joachima, jak i syna Adama zasługują na pochwałę godną naśladowania. Choć bibliofile i filantropowie dziś trochę nie w modzie, warto przybliżać młodym pokoleniom sylwetki nieugiętych, dobrych i mądrych ludzi, którzy przysporzyli wiele dobra dla drogiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Alina Jaroszewicz

SZLAKIEM NIEPOSŁUSZNYCH

Drodzy Czytelnicy,
Długo myślałam o tym, jak dziś opowiedzieć naszej młodzieży o latach 30.-40. XX wieku, o Żołnierzach Niezłomnych Ziemi Brzeskiej. W naszej Szkole mamy setki młodych ludzi w wieku 14-17 lat, jest to młodzież ambitna, zdolna, ale żyjąca w zupełnie innej rzeczywistości niż ich rówieśnicy 70 lat temu. Ponad 30 lat pracuję z młodzieżą i wiem, że zawsze są wśród nich tacy, którzy pragną wiedzy, którzy potrafią myśleć, szukać, analizować, którzy dzięki dziadkom, rodzicom, mądrym nauczycielom szukają swoich korzeni, kochają swoje małe ojczyzny, są otwarci na poznawanie prawdy i tożsamości. Dla tych przede wszystkim pracujemy, organizujemy konkursy, wyprawy edukacyjne i krajoznawcze. To właśnie taka młodzież przyczyniła się w latach 2008-2011 do odtwarzania prawdy o Związku Obrońców Wolności, ostatniej polskiej organizacji młodzieżowej na Polesiu, poprzez nagranie filmów dokumentalnych, bohaterami których są żyjący jej członkowie. Tak powstał film «Był taki czas» (jest dostępny na stronie www.echapolesia.pl, www.polesie.org). Nasza redakcja wydała także książkę jednego z założycieli ZOW Leonarda Konikiewicza «Szlakiem Nieposłusznych». A w tym roku wznowiliśmy cykl wywiadów, badań historii organizacji, dokumentowania losów Zowowców. Temat ten jest mi szczególnie bliski, gdyż wśród członków ZOW byli członkowie mojej rodziny: Regina Jaroszewicz (ps. Rusałka), Leonard Konikieiwcz (ps. Topola), Jan Konikiewicz (ps. Edmund Jurkowski), mój ojciec Edward Jaroszewicz w wieku 15-16 lat był łącznikiem tej organizacji. W roku 1992 zorganizowałam w Brześciu pierwsze po 50 latach spotkanie z Zowowcami. Moim przyjacielem był także ś.p. Ryszard Snarski, który kilkakrotnie odwiedzał Brześć, w moim archiwum pozostały jego listy i wiersze. W latach 90-ch założyliśmy I Drużynę harcerską im. Ryszarda Snarskiego, która odegrała ważną rolę podczas prac remontowo-porządkowych na Cmentarzu Garnizonowym w Brześciu, w opiece nad wieloma miejscami pamięci Brześcia i obwodu brzeskiego. Była to dla nich wspaniała szkoła życia.



Natalia Zarzycka-Odyńska, kwiecień 2017 r.

Historia młodzieży brzeskiej z lat 30.-40. to historia pulsująca, żywa, gdyż żyją jeszcze uczestnicy i świadkowie tych wydarzeń i ich dzieci. To historia najlepszej polskiej młodzieży z Brześcia, Kobrynia, Baranowicz urodzonej w młodym państwie polskim. Ta młodzież należała do harcerstwa, była twórcza i kreatywna, aktywnie uczestniczyła w życiu szkoły i kościoła. Polska była ich Ojczyzną, miłością, nadzieją na lepsze jutro. Wychowani na bohaterskich czynach legionistów, powstańców styczniowych i listopadowych, byli gotowi do obrony swojej ziemi i godności. Po wojnie i wejściu Sowietów coraz większa część miejscowych Polaków wyjeżdżała za Bug, do sowieckiej już Polski. Zygmunt Stachowicz, ps. «Żmudzin» tak pisał o tym okresie: «Dla nas, wyrosłych na tej ziemi, która była najbardziej polska ze wszystkich ziem, było to nie do przyjęcia. Ksiądz Rosiak namawiał raczej do pozostania i przygotowania się do obrony polskości i wiary w sposób pokojowy nawet przez długie lata.» Członkowie ZOW w czasie wojny najpierw walczyli w szeregach harcerskich z niemieckim okupantem, po wojnie ich zadaniem było ratowanie pomników kultury polskiej, niszczonej przez Sowietów, ratowanie bibliotek, pomoc rodzinom represjonowanych i powracających z Syberii. Pomagali ukrywającym się żołnierzom AK. Świadczyli pomoc rodzinom aresztowanych AK-owców. Zbierali pieniądze i organizowali

paczki żywnościowe dla przebywających w łagrach. Ukrywali polskie sztandary. Opiekowali się kaplicami i kościołami po aresztowaniu przez NKWD księży. W tym numerze zaprezentujemy Państwu historie życia legendarnych Zowowców: Natalii Zarzyckiej, Jeremiego Odyńskiego, Zygmunta Stachowicza, wspomnienia o ZOW Leonardza Konikiewicza, wiersze Zowowców i ich wspomnienia, a także fotografie, które udało się zdobyć – o życiu naszych dziewcząt i chłopców przed wojną i te, z okresu zesłania.
Pod koniec kwietnia w Warszawie odbyło się nasze spotkanie z Natalią Zarzycką, ps. «Sfinks», wybitną postacią, legendarną Brześcianką, o Jej życiu można pisać scenariusze, tworzyć seriale. Nasi operatorzy Ola Semeniuk i Andrzej Wasilewicz nagrali film – rozmowę z Panią Natalią, który wkrótce zostanie zamieszczony w Internecie. Jesteśmy ogromnie wdzięczni naszej Drogiej Rodaczce za spotkanie, za udostępnione materiały i fotografie. 27 lipca Pani Natalia skończy 90 lat. Jest młoda duchem, wbrew wszystkim burzom życiowym nie utraciła wiary i nadziei, jest twarda, pełna godności i światła życia. Jest niekwestionowanym autorytetem dla wszystkich, kto ją zna. Życzymy Pani Natalii dobrego zdrowia i spokoju serca, Bożego Błogosławieństwa na każdą chwilę życia.

DZIEWCZYNA Z LEGENDY

BRZEŚCIANKA NATALIA ODYŃSKA-ZARZYCKA, PS. «SFINKS»

SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO W BIAŁOWIEŻY



Natalia Zarzycka (z domu Odyńska) urodziła się 27 lipca 1927 roku. Feliks Odyński, ojciec Natalii, pochodził z rodziny hrabiowskiej, która podczas rewolucji straciła cały swój majątek pod Kijowem. Wczesne dzieciństwo spędziła w Puszczy Białowieskiej, w dworku «Hola». Z rodzicami i sześciorgiem rodzeństwa mieszkali w pięknym miejscu. Majestatyczne, wysokopienne drzewa, dzikie zwierzęta, przejażdżki konne, pachnący żywicą dom. W domu trzymali prawdziwą sarenkę Basię. Tata Tali znalazł ją gdy była jeszcze mała, zgubiła mamę. Na początku Tala karmiła ją z butelki. Nie odstępowała od niej ani na krok. Pewnego dnia mama podawała dzieciom podwieczorek przy wiklinowym stoliku. Basia wskoczyła na niego, spadła i złamała nóżkę. Tata Tali tę nóżkę złożył w łupki. Pani Natalia pamięta te łzy sarenki, kapiące z jej oczu podczas operacji.

W 1933 roku, kiedy Natalia miała iść do I klasy, rodzina przeprowadziła się do Brześcia. Ojciec Feliks Odyński kupił piękną willę przy ul. Długiej. Wychowana na wolności, w świecie przyrody, Natalia nudziła się w szkole. Kiedy mama przychodziła na wywiadówkę, nauczyciele załamywali ręce i tak mówili o Natalii i jej starszej siostrze Irenie: «Pani Odyńska, Irenka jest po prostu złoto, a Tala? Błoto!»

»»»



DWIE OKUPACJE

»»» Do harcerstwa wstąpiła rok przed wybuchem wojny. Pamięta swój pierwszy obóz – wróciła pocięta przez komary, posiniaczona, podrapana, brudna, ale zachwycona. W sierpniu 1939 roku rodzina planowała wspólny wyjazd nad morze. Ale ojciec powiedział, że wojna wisi na włosku. Zostali. Gdy się zaczęło, biegała z koleżankami z harcerstwa w miejsca, gdzie spadły bomby i opatrywała rannych. Harcerki miały za zadanie niesienie pomocy ludności cywilnej podczas nalotów na Brześć oraz wyłapywanie szpiegów niemieckich. Odcinek powierzony Natalii i koleżankom obejmował część miasta między ulicą Długą a Szeroką. Jak tylko ogłaszano alarm, natychmiast dziewczynki w mundurkach i z maskami przeciwgazowymi biegły na swoje stanowiska. Przez 9 dni Tala z dziewczynkami uczestniczyła w ratowaniu ludności cywilnej. A 9 września po dużym nalocie bombowym rodzina opuściła miasto i przeniosła się do wsi Motykały do pana Piwoniego. Po wkroczeniu 12 września do Brześcia wojsk niemieckich, rodzina wróciła. Dom ocalał, ale szyby w oknach powylatywały i wszystko, co w domu pozostało, zostało «rozrabowane». Rodzina została bez odzieży, bez pościeli, ocalało tylko to, co zabrali podczas szybkiej ewakuacji. Wybito drzwi, zerwano nawet podłogę. 17 września Niemcy zaczęli opuszczać Brześć, a wkrótce po tym wkroczyli Sowieci.

Byliśmy z rodziną na słynnej defiladzie sowiecko-niemieckiej. Niemcy i Sowieci maszerowali obok siebie i nawzajem sobie salutowali. Nad miastem powiewały dwie czerwone flagi: jedna z sierpem i młotem, a druga ze swastyką. Z tego dnia pani Natalia pamięta fakt, że po defiladzie podszedł jeden z sowieckich bojców do brata Stefana, który był ubrany w mundurek gimnazjalny i zapytał: «Ty kadet?» Dzieci nie znały języka rosyjskiego, a ich ojciec odpowiedział, że jest to mundurek szkolny.

Po przyjściu Sowietów wszystko zniknęło ze sklepowych półek. Rosjanie dziwili się, że nie ma kolejek i kartek. Okupant zamknął gimnazja, w ich miejsce otworzył «dziesięciolatki». Polacy szybko zorganizowali tajne komplety, na których dzieci i młodzież uczyli się polskiego, historii, geografii. Potajemnie także spotykali się na zbiórkach harcerskich.

«JASKÓŁKA»

Od 22 czerwca 1941 roku rozpoczęła się okupacja niemiecka. Wszystkich uczniów zapędzono do pracy. Od czerwca 1942 roku szkoły tajnego nauczania zostały zlikwidowane poprzez aresztowanie wielu profesorów. Prawie cała młodzież została skierowana do Arbeitzantu, a następnie do pracy. Tala została skierowana do Zakładów Naprawczych Telefonów. Brat Stefan wstąpił do konspiracji. W tym okresie Natalia dostawała zlecenia zdobywania broni i amunicji. Kilkakrotnie udało się kupić od Węgrów, których w Brześciu stacjonowało dość dużo, krótką broń wraz z amunicją. Wiele razy przenosiła broń i amunicję do Państwa Zelenayów. U nich był skład amunicji. Od maja 1942 roku po krótkim przeszkoleniu została zaprzysiężona i pod pseudonimem «Jaskółka» została

zwiadowcą. Polem działania Natalii była stacja kolejowa Brześć Centralny. Wiele godzin spędzała na tzw. «moście wiszącym», gdzie zapamiętywała dane dotyczące ruchu pociągów wojskowych, udających się na Wschód. Taką działalność, urozmaicaną wyjazdami do Białegostoku, Łucka, Kobrynia, Kowla Natalia prowadziła do czerwca 1943 roku, do chwili aresztowania brata Stefana. W dniu aresztowania brata Natalia wracała z Białegostoku, na dworcu ją czekała koleżanka, która uprzedziła, że nie może wracać do domu, gdyż w domu jest «kocioł». Tala uciekła na piechotę do wsi Motykały, do pana Piwoniego. Dom pana Piwoniego był AK-owską meliną, zresztą jak wiele polskich domów, rozsianych po wsiach na całym Polesiu i Ziemi Nowogródzkiej. Tam przez kilka miesięcy szkolono ją do udzielania pierwszej pomocy rannym. Następnie przeniesiono Natalię do Wołkowyska do oddziału por. ps. «Boruta». Na tym skończyła się działalność harcerska. Ale w sercu pani Natalia pozostała harcerką na całe życie – tak nam wyznała. Od razu po wojnie, w kwietniu 1946 roku, Natalia uczestniczyła jako harcerka w poświęceniu Sztandaru Hufca harcerskiego z Akmolińska. W tym czasie powracali zesłani Polacy z Kazachstanu. Ta uroczystość poświęcenia sztandaru odbyła się w Brześciu, w kaplicy na Kijówce przez śp. księdza Łazarza, również wielokrotnego łagiernika.

W ARMII KRAJOWEJ

Po pewnym czasie Natalia wstąpiła jako sanitariuszka do oddziału podporucznika Gustawa Heczki «Skorpiona». To był cichociemny, skoczek z Anglii, bardzo bojowy oficer. Oddział zajmował się dywersją.

Podczas jednej bitwy oddział «Skorpiona» ostrzeliwał się pod lasem. Akowcy pakowali w Niemców całe serie z karabinów, rozrywały się granaty, słychać było bojowe okrzyki. Nieprzyjaciel jednak miał przewagę i nasi żołnierze musieli się wycofać. Kilku chłopaków było rannych, krew lała się z otwartych ran. Natalia podbiegła do nich, zaczęła ich opatrywać. Nagle obok z potwornym hukiem eksplodował pocisk, rannego, którego ona opatrywała, rozerwało na strzępy, a stojące nad nim drzewo pękło i runęło wprost na Natalię. Co było dalej – nie pamięta. Straciła przytomność. Ocknęła się po 9 dniach w jakiejś wiejskiej chałupie. Okazało się, że drzewo złamało jej miednicę. Leżała pod nim przez kilka godzin, dopiero po bitwie chłopcy ją odnaleźli i zanieśli w bezpieczne miejsce do zaprzyjaźnionych Polaków, Państwa Michałowskich, we wsi Andrzejowice. Na domiar złego eksplozja tak ją ogłuszyła, że przez całe życie Pani Natalia kiepsko słyszy i do dziś nosi 2 aparaty słuchowe. Przyszedł do niej dowódca, żeby zapytać jak się czuje, nie była w stanie nic odpowiedzieć. Był to maj 1944 roku. Armia Krajowa toczyła na Kresach swoje ostatnie tragiczne bitwy. Pani Michałowska bardzo dbała o Natalię, karmiła, myła, opatrywała. Kiedy na wsi pojawili się Sowieci i przyszli do chaty Michałowskich, powiedziała im, że jestem jej chorą córką, a do tego niemową. Uratowała Natalię. Kiedy wyzdrowiała, wróciła do Brześcia, Rodzice przetrwali wojnę. Z braci tylko Stefan został wywieziony. Miał wrócić po 2 latach. Ale w mieście było niebezpiecznie. NKWD tropiło żołnierzy AK. Natalia więc uciekła do Baranowicz, gdzie zatrudniła się w szkole, posługując się fałszywą tożsamością – pani Michałowska dała jej dokumenty jej zmarłej córki. Do domu przyjeżdżała rzadko, tylko w nocy. Część kolegów uwierzyła w ogłoszoną przez Sowietów amnestię. Ujawnili się. A potem trafili do bezpieczniackich kazamatów. Nie było to żadne wyzwolenie, tylko kolejna okupacja. Brześć wraz z połową Polski został wchłonięty przez Związek Sowiecki.

W ZWIĄZKU OBROŃCÓW WOLNOŚCI – PS. «SFINKS»

Na Polesiu powstała nowa organizacja – Związek Obrońców Wolności. Głównym celem organizacji była walka o zachowanie polskości, godności i praw człowieka oraz obrona przed rusyfikacją Polaków, umacnianie świadomości narodowej wśród »»»

»»» tych, którzy nie wyjechali do Polski, propagowanie polskiej kultury, organizacja kompletów nauczania języka polskiego i historii, ratowanie pomników i książek przed niszczeniem przez okupanta. Oczywiście nie mogło w tej organizacji zabraknąć Natalii. Była łączniczką i kursowała między Brześciem, Kobryniem a Baranowiczami. Opiekowała się rodzinami, których bliźnich represjonowano. Razem z kolegami dbali o polskie cmentarze.

BRZEŚĆ-WORKUTA, WSPOMNIENIA NATALII ODYŃSKIEJ-ZARZYCKIEJ

Rok 1948, lipiec, 27 – są moje imieniny i urodziny. Skończyłam 21 lat. Była zabawa w domu. Otrzymałam mnóstwo prezentów. Koledzy i bracia moi o godz. 2 w nocy poszli odprowadzić dziewczęta, a my z mamą i siostrą wzięłyśmy się za zmywanie naczyń i sprzątanie w domu.

Byłabym szczęśliwa, gdyby nie jedna myśl, jaka od wielu dni drążyła mój umysł. Otóż kilka dni temu zauważyłam, że dom nasz jest pod obserwacją. Wiedziałam, że coś się dzieje, ale nikt nie wiedział co. Ukrywałam przed rodzicami, że obiektem obserwacji jestem ja i mój brat Jarek. I stało się, 28 lipca już koło 900 rano wpadło do domu kilku NKWD-istów i rozpoczęło rewizję. Bardzo dokładnie i systematycznie przeszukiwali cały dom. Wprawdzie przeżyliśmy już kilka rewizji w okresie okupacji niemieckiej, lecz ta była zupełnie inna pod względem niezwykłej dokładności i czasu jej trwania. Zakończono po południu i aresztowano mnie i mojego brata Jarka. Przewieźli nas do siedziby NKWD i umieścili w tymczasowym areszcie.

5 dni trwało przesłuchanie w areszcie tymczasowym, gdzie nie pozwolono mi spać, a prowadzący śledztwo zmieniali się co kilka godzin. Czwartego dnia zemdlałam. Po wstępnym przesłuchaniu przewieźli mnie do więzienia brzeskiego. Tu dopiero rozpoczęło się śledztwo właściwe, które trwało prawie 5 miesięcy.

Pod koniec lipca 1944 roku Brześć wyzwoliły i zajęły wojska sowieckie. W ciągu niespełna miesiąca wydano wiele zarządzeń i odezw do obywateli polskich, a wśród i ta: ...że wszyscy członkowie organizacji walczących przeciwko faszystowskiemu najeźdźcy winni zgłosić się do władz sowieckich, zdać broń, oraz zalegalizować się podając przynależność do swoich organizacji. Byliśmy zdezorientowani, nie wiedzieliśmy co mamy robić.

Były pojedyncze przypadki zgłaszania się, ale już ślad po nich zaginął, zostali albo rozstrzelani, albo z wyrokiem wywiezieni na Syberię i nie przeżyli. Postanowiliśmy się nie ujawniać. Po wojnie na Polesiu na skutek represji sowieckich władz nastąpiło stopniowe scalanie się luźnych grup młodzieżowych w jednolitą organizację pod nazwą «Związek Obrońców Wolności» z siedzibą w Brześciu. Inicjatorami Ruchu ZOW byli



uczniowie liceów: Zygmunt Stachowicz ps. «Żmudzin», Ryszard Snarski ps. «Soroka», Jeremi Odyński ps. «Babinicz», Natalia Odyńska ps. «Sfinks», Maria Furmanał ps. «Stokrotka» i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam.

ZOW szybko rozrastał się i w 1948 roku posiadał setki członków i sympatyków na całym Polesiu. Najbardziej aktywne komórki ZOW były w Brześciu, Kobryniu, Baranowiczach, Kamieńcu Litewskim i wielu innych miejscowościach Polesia. ZOW była dość aktywna po wojnie i nadal pozostawała w głębokiej konspiracji. Dopiero w toku śledztwa w więzieniu dowiedziałam się jak wiele osób było uczestnikami powojennego ZOW-u na terenie Polesia.

Zarzucano nam to, że przez cztery lata prowadziliśmy walkę z władzami sowieckimi, dlatego też i wyroki otrzymaliśmy najsurowsze.

«Wojennyj Trybunał Biełorusskogo Wojennogo Okruga» po rozpatrzeniu sprawy 73 osób «kontrewolucyjnej, białogwardiejskiej» organizacji pod nazwą Armia Krajowa na podstawie § 63-1 i 76 UK BSSR pozbawia wolności Natalię Odyńską wyrokiem 25 lat ZK oraz 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. I jeszcze na końcu wyroku klauzula: « ... wyrok powinna odbywać w lagrach dalekiej północy zatrudniona wyłącznie przy pracach fizycznych».

I tak zaczęła się moja «droga przez mękę», najpierw przez więzienia tzw. punkty przesylne, zanim dotarłam do Workuty – do miejsca przeznaczenia – odbywania mojego niezasłużonego wyroku.

Około 20 grudnia 1948 roku załadowano wielu z naszej grupy do tzw. «czornych woronow» /samochody – więzienne karetki/ i przewieziono nas na dworzec, gdzie załadowano do wagonów towarowych i przewieziono nas do Moskwy. W słynnych «Butyrkach» siedziałam około 1 miesiąca. Najpierw posadzono mnie wraz z tzw. «urkami» – są to kobiety recydywistki odbywające wyroki za morderstwa lub napady z bronią w ręku. Niektóre z nich miały już po 100 i więcej lat wyroku. Element ten


W tym baraku mieszkałyśmy

wywodzący się z «dna» społeczeństwa rosyjskiego miał swój, a raczej swoisty kodeks honoru, ale odnoszący się z ogromną nienawiścią do więźniów politycznych.

Tu muszę wspomnieć, że tuż po wojnie więzienia sowieckie były przepełnione więźniami, a jednocześnie panowały tam bardzo złe warunki sanitarne, nie mówiąc już o wyżywieniu. Ludzie po prostu cierpieli głód. Prawie każdy z nas, kiedy nas wywożono z rodzinnego miasta, posiadał worek żywności, oprócz rzeczy osobistych. Natychmiast jak tylko zatrzasnęły się drzwi celi, spostrzegłam, że mieści ona około 50 więźniów. To było pierwsze wrażenie. Później okazało się, że było nas ponad 70. «Urki» od razu zarekwirowały nam tę już i tak skromną żywność. Do Moskwy jechałyśmy ponad 5 dób, dożywiałyśmy się naszym prowiantem. A zatem byłyśmy już na garnuszku więziennym, ale jeszcze codziennie uszczuplanym przez te właśnie «urki», gdyż one odbierały nam jedzenie. Bywały takie dni, kiedy oprócz wody do picia nic nie jadłyśmy. Na dodatek złego «urki» grały na karty. Ponieważ każda z nich nic nie miała, zatem postanowiły zagrać o nas o nasze życie. Te, które przegrałyby, miały wykonać na nas wyrok. Bałyśmy się interweniować u władz więziennych, gdyż nie wiedziałyśmy jaka będzie reakcja «urek». Od chwili przybycia do tej celi «paraszę» /jest to kadź, do której załatwiało się swoje potrzeby fizjologiczne/ wynosiłyśmy wyłącznie »»»



»»» my. Kiedy one grały w karty, a ja z moją koleżanką poniosłyśmy «paraszę», postanowiłam powiedzieć o tym «klawiszowi», który nas eskortował do ubikacji. Błagałam go, żeby nas ratował, inaczej zginiemy. Po przybyciu do celi powiedziałam o tym moim koleżankom. Wprawdzie nie miałyśmy wielkiej nadziei na jakieś skuteczne działanie władz więziennych. Ale stało się inaczej. Po upływie mniej więcej godziny, przyszli «klawisze» i wyczytali nasze nazwiska i umieścili nas w mniejszej celi, z więźniarkami politycznymi. To, co przeżyłam przez te kilka dni, dotychczas, chociaż minęło już tyle lat, przejmuje mnie zgrozą. Po miesiącu znów zabrano mnie na etap, ale już samą, gdyż koleżanki były wywiezione wcześniej. I znów w towarowych wagonach, z «paraszą» w kącie jechałam dalej na północ. Po prawie dwóch tygodniach spędzonych w wagonie, gdzie jedynym pożywieniem była słona ryba lub śledzie i kawałeczek chleba. – «gliny» i nie zawsze w odpowiedniej ilości wody, przyjechaliśmy do Kirowa na przesylny punkt. Była to połowa lutego 1949 roku. Umieszczono nas w barakach ze zgrubsza ciosanych okrąglaków drzewnych, gdzie między nimi były szpary, w które można było wetknąć palec. Mróz był bardzo duży, a pieców żadnych nie było, więc marzłyśmy okrutnie. Wszystkie ciuchy, jakie posiadałam włożyłam na siebie, ale i to nie pomogło, wciąż było zimno. W Kirowie przesiedziałam trzy tygodnie. W Kirowie przeziębiłam pęcherz moczowy, na który cierpię po dzień dzisiejszy. Schorzenie to bardzo odczuwałam podczas całego mojego pobytu w łagrze.

I znów etap. Załadowano mnie wraz z innymi więźniarkami, a były to kobiety różnych narodowości: Litwinki, Łotyszki, Estonki, Węgierki, Czeszki, Niemki, a nawet kilka Greczynek, Ukrainki, Białorusinki, Rosjanki. Tym razem etap trwał prawie miesiąc. Wyładowali nas w Workucie i kilka kilometrów pędzono nas pieszo do punktu przesylnego.

-Motto – «Workuta, Workuta czudnaja płanieta, dziesiat miesiacew zima ostalnoje leto». Workuta przeklęte miejsce na ziemi. Położona w europejskiej części Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Radzieckiej – Komi ASRR nad rzeką Workutą w dorzeczu Pieczory. Usytuowana na około 160 km. na północ od północnego Koła Podbiegunowego, na szerokości północnej 67, +0 i długości wschodniej 640.

Powstała w 1931 roku w wyniku zsyłania tu więźniów politycznych do ciężkich robot, związanych a wydobywaniem węgla kamiennego. W 1943 roku uzyskała prawa miejskie, a w roku 1956 liczyła już około 63 tyś. mieszkańców.

Pierwsi więźniowie mieszkali w namiotach. Zmarłych nie chowano, gdyż była tu wieczna zmarzlina. Nawet latem, kiedy 20 cm ziemi zostało odmrożone, kopano płytkie groby, by później z nadejściem wiosny trupy spływały do rzeki. W latach 40-41 nadeszły pierwsze transporty Polaków ze wschodnich terenów Polski. Więźniowie ci pracowali w kopalniach, przy budowie kolei, przy budowie baraków poszczególnych obozów i domów mieszkalnych w rozbudowującej się Workucie.

Był to już kwiecień, a Workuta przywitała nas straszliwą zamiecią i mrozem około 400 poniżej zera. W punkcie przesylnym byłam około tygodnia, po czym popędzono nas do obozu żeńskiego tzw. «Predszachtnaja». Nie pamiętam, jak długo szłyśmy, mnie się wydawało, że trwa to całe wieki. Później dopiero dowiedziałam się, że to zaledwie kilka kilometrów. «Predszachtnaja» – był

to obóz żeński, w którym odbywały swoje wyroki kobiety różnych narodowości. To tak jak wieża Babel. Więźniarki starały się zajmować miejsca między swoimi współziomkami. W każdym baraku mieszkało około stu pięćdziesięciu kobiet. Oczywiście były baraki tzw. «pridurków» – więźniowie pracujący w administracji i obsłudze obozu, w których warunki były lepsze, mniej było ludzi w jednym baraku, oni też mieli jakąś pościel, poduszki. Ale ja do nich nie należałam. Klauzula w moich dokumentach «licznoe dieło» przekreślała wszelkie nadzieje na jakieś lepsze bytowanie w łagrze, aczkolwiek miałam średnie wykształcenie, a to też liczyło się w łagrze. Na następny dzień po przybyciu do obozu otrzymałam Nr. 256 ZK oraz umundurowanie odpowiednie do tego klimatu. Były to: spodnie watowane, kurtka watowana zw. «tiełogrejką», oraz buszłat, coś w rodzaju przykrótkiego palta watowanego oraz walonki. Mam małą nogę Nr. 36, a dostałam walonki Nr. 45. Nazwałam je «łodzie». Chodzić w nich w tym stanie było niemożliwe, w związku z tym trzeba było je wypełnić czymkolwiek. Gazet nie było, więc powypychałam garderobą osobistą i w ten oto sposób kilka rzeczy pozostało, gdyż wszystko mi skradziono. To muszę wspomnieć, że po przybyciu do obozu znowu zamieszkałam z «urkami» i znów zaczęła się gehenna. W Moskwie i Kirowie w przesylnych punktach otrzymałam z domu paczki z żywnością i rzeczami osobistymi, które to paczki pozwolili mi przetrwać ciężkie warunki etapów podróży w wagonach towarowych. Po rozlokowaniu się w baraku wprawdzie nie zarekwirowały mi mojej żywności od razu, ale stopniowo przez kilka dni nie pozostało z tych paczek nic. Pozostały mi jeszcze rzeczy osobiste. Pewnego dnia po powrocie z pracy, która trwała 12 godzin dziennie nie wliczając dojścia do pracy i z pracy, a nieraz w sumie trwało to 14-15 godzin, stwierdziłam, że nie mam już nic z rzeczy osobistych. Nie poszłam do stołówki, padłam na pryczę i gorzko płakałam. W baraku nie było nikogo, gdyż byli wszyscy w stołówce, z wyjątkiem kilku «urków», tych znaczniejszych tzw.



«Prowodyrów», które nie plamiły się pracą, nie chodziły do stołówki, one żyły kosztem innych. Dla nich przynoszono jedzenie. Jedna z nich podeszła do mnie i zapytała dlaczego płaczę. Opowiedziałam jej wszystko o sobie, i o tym, że mnie okradli. Pocieszyła mnie, że postara się, aby wszystkie rzeczy moje zastały mi zwrócone. I rzeczywiście, wieczorem prawie wszystko wróciło do mnie. Od tego czasu byłam jej podopieczną. Teraz po tylu latach nie pamiętam jej nazwiska ani nawet imienia, zresztą one miały pseudonimy tzw. «Kliczki». Wiem tylko to, że ona pomogła mi przetrwać przez kilka pierwszych miesięcy. Po kilku miesiącach, a może po roku, tego już teraz nie pamiętam, władze sowieckie wydały rozkaz utworzenia tzw. «Ryczłagów» /po rosyjsku brzmiało to: «Łagier usilennogo reżima». Wówczas to oddzielono więźniów politycznych od recydywy. W barakach zapanował względny spokój. Powszedni dzień w łagrze zaczynał się od pobudki o godzinie 5 rano, następnie ubierania się w ciuchy robocze, jeśli znalazło się miejsce i czas na mycie twarzy i zębów, to się myłam, ale bardzo często nie było na to czasu ani miejsca, ani też czasu. Następnie marsz brygadami do stołówki, w której dostawałyśmy 1 łyżkę wazową kaszy owsianej ugotowanej na gęsto tzw. «plujkę», w której było więcej plew aniżeli samej kaszy polanej jednym naparstkiem oleju nierafinowanego, w smaku raczej przypominającego oliwę do smarowania maszyn. Po »»»

»»» śniadaniu o godz. 6 tzw. «Razwod» przy bramie głównej. A wyglądało to tak – zbierały się wszystkie brygady i po kolei podchodziły do bramy. Następnie wywoływali numer, należało podejść i wyrecytować: imię, imię ojca, nazwisko, paragraf, według którego otrzymało się wyrok, no i sam wyrok. Po «rozwodzie» każda brygada zwartą kolumną otoczona wartownikami uzbrojonymi w karabiny i psy, ruszała do swojej pracy. Pracowałam na różnych pracach. Najpierw przy oczyszczaniu śniegu na szosach, oczyszczałyśmy także tory ze śniegu. Pracowałam przy rozładunku żwiru, węgla kamiennego, mąki do piekarni obozowej, materiałów budowlanych i wielu innych bardzo ciężkich pracach fizycznych. Walka ze śniegiem w Workucie była syzyfową pracą. Część drogi oczyszczona przez nas, zasypywana była nowym śniegiem i tak bez przerwy oczyszczało się ten sam odcinek drogi. Przy oczyszczaniu dróg pracowało nieraz od kilku do kilkunastu brygad. Praca nasza trwała 12 godzin, po czym zwartą kolumną otoczeni wartownikami i psami wracałyśmy do obozu. Tu w zależności od tego, czy wykonałyśmy normę, czy nie, dostawałyśmy odpowiedni kocioł. Ja prawie nigdy nie wyrabiałam normy, zatem i kocioł był ten najgorszy, czyli trzeci. Po zjedzeniu posiłku w stołówce wracałyśmy do baraku. Była to już godzin 8-ma wieczór, a o godz. 9 «Prowierka», czyli apel, po czym zamykali barak. Mycie odbywało się w ten sposób, że trzeba było roztopić śnieg, aby nagrzać trochę wody do mycia. Odczuwałyśmy ciągły brak mydła, gdyż mydło służyło nie tylko do mycia, ale również do prania. Kąpiel odbywała się w obozowej łaźni jeden raz w tygodniu w sobotę lub w niedzielę. Dostawałyśmy maleńką kosteczkę mydła i jeden kubeczek tzw. «Szajka» wody ciepłej, było to około 6-7 litrów wody. Trzeba było w tym umyć głowę i umyć całe ciało. Nie było to takie proste, później przyzwyczaiłam się do tej normy wody i jakoś sobie radziłam.

Wśród innych narodowości, Rosjanek, Ukrainek, a także wśród Niemek było dużo kobiet chorych na syfilis, bałam się straszliwie tej choroby i starałam się zachować jak najdalej idącą higienę. Poprosiłam moich rodziców o przysłanie mi niedużej miedniczki aluminiowej, lekkiej, bym mogła ją zabierać na etap. Miałam już swoją miedniczkę, w której nie tylko myłam się, ale też i prałam. Miedniczka ta przyjechała ze mną do Polski. Po kilku miesiącach pobytu w obozie nauczyłam się radzić sobie, ale nigdy nie mogłam przyzwyczaić się do



tej ciężkiej nadludzkiej pracy. Bywały takie dni, kiedy wracałam z pracy i zamiast iść do stołówki, padałam z wycieńczenia na pryczę i zasypiałam kamiennym snem.

Pamiętam takie zdarzenie. Kiedyś z braku wolnych brygad wypędzili naszą brygadę nocą w straszliwą zamieć, zwaną «purgą» do oczyszczania torów ze śniegu. Mróz był nieduży, bo zaledwie ponad 20 poniżej zera, ale przy takiej zamieci mróz potęgował się podwójnie i trzeba było ubrać się bardzo ciepło, żeby nie odmrozić sobie twarzy, czy też rąk i nóg. Po wyjściu wszystkie kobiety z naszej brygady przypominały szmaciane kukły, gdzie tylko oczy były nieosłonięte. Po przyjściu na miejsce pracy brygadzistka rozstawiła naszą brygadę wzdłuż torów mniej więcej co 2 metry jeden pracownik od drugiego i rozpoczęłyśmy pracę. Tu muszę wyjaśnić, że zawsze takiej «purdze» towarzyszyły potworne świsty, gwizdy, szum, od których trudno było odróżnić jakieś poszczególne dźwięki. Pracowałyśmy około 4 godzin i tory były już przejezdne. Ale nagle daleko usłyszałyśmy jakiś krzyk i wszystkie pobiegłyśmy w tym kierunku. Wyłoniła się z mroku i zamieci lokomotywa. Ktoś krzyczał, żeby się zatrzymała. Maszynista zatrzymał lokomotywę i wtedy zobaczyłyśmy jedną kobietę z naszej brygady pod kołami. Zaczęłyśmy ją wyciągać, a ja rozcierałam jej rękę, która była zraniona. Okazało się, że była to Estonka Elite, nazwiska nie pamiętam. Położyłyśmy ją na «buszłacie» i niosąc po kilka osób z każdej strony, strażnicy zaprowadzili nas do obozu, gdzie natychmiast przenieśliśmy ją do szpitala obozowego. Ręki nie udało się uratować i lekarz obozowy zmuszony był ją amputować. Później okazało się, że była ona pianistką, bardzo ładna dziewczyna o nordyckiej urodzie. I tak zakończyła się kariera tej ładnej i sympatycznej niewiasty.

Jak już poprzednio wspomniałam, pracowałam bardzo ciężko fizycznie, nie mając żadnej nadziei na lepsze jutro. To trwało kilka lat. Nie pamiętam już dokładnie, w którym roku zabrali mnie na etap i pieszo popędzili pod eskortą wartowników z psami, kilkanaście kilometrów do innego



obozu «Drugiej Cegielni». Tu pracowałam przy wydobywaniu gliny. Norma była bardzo duża i nigdy nie mogłam jej wykonać, dlatego też i kocioł otrzymywałam ten najgorszy. Byłam bardzo wycieńczona. Przy wzroście 164 cm ważyłam 39 kg. W marcu 1952 roku zachorowałam na zapalenie stawów. Trafiłam do obozowego szpitala, gdzie przeleżałam prawie pół roku, a następnie jeszcze 1 miesiąc byłam na zwolnieniu lekarskim. Kiedy poszłam na komisję lekarską, otrzymałam kategorię III-ŁFT / legkij fiziczeskij trud / i od tego czasu powodziło mi się lepiej. Pracowałam w obozie najpierw przy oczyszczaniu dróg do poszczególnych baraków i praca trwała 8 godzin, następnie byłam w «rembrygadzie», gdzie nauczyłam się ciesielki, tynkowania, murarstwa, malowania i wielu innych prac. Pomimo to, że były to dość ciężkie prace, jednak odbywały się przeważnie w pomieszczeniach, nie na mrozie, i jakoś sobie dawałam z nimi radę.

Kiedyś, pamiętam, wysłali naszą brygadę do «owoszczechraniliszcza», to znaczy magazyn warzyw i żywności dla personelu wolnego zatrudnionego w obozie. Przebieraliśmy ziemniaki i inne jarzyny. W Wigilię Bożego Narodzenia postanowiłam przemycić do obozu trochę ziemniaków i w ogóle co się da. Wzięłam około 3 kg ziemniaków, w moich walonkach zmieściło się około »»»



»»» półtora kilograma ziemniaków, reszta była w rękawach i spodniach. Na szyi miałam zawieszonego łososia solonego około 2 kg, wisiał z tyłu na plecach, gdyż tam nie szukali. Z przodu zawieszona również na szyi słonina solona. Myślałam, że słonina i ten łosoś uduszą mnie. Całe szczęście, że magazyny te były blisko obozu. Jakoś szczęśliwie udało mi się przebrnąć przez rewizję i tak obładowana wróciłam do baraku. Zanim natopiłam śniegu i umyłam się, koleżanki ugotowały zupę kartoflaną, okraszoną skwarkami z cebulką. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia otrzymałam paczkę z domu i około 1 kg cebuli, ½ kg czosnku, między innymi produktami były w paczce. Jedna z koleżanek dostała bochenek chleba za jakąś tam pracę przez nią wykonaną dla pewnego wolnego. I w ten sposób miałyśmy wspaniałą Wigilię, po której bodajże po raz pierwszy od aresztowania poszłam spać nie czując głodu.

Po jakimś czasie przy pomocy łapówki z paczki żywnościowej, jakie otrzymywałam regularnie z domu, udało mi się załatwić pracę w pracowni krawieckiej przy obozowym teatrzyku. Tam szyłam kostiumy na scenę, oczywiście ręcznie. Była to już bardzo dobra praca w cieple, dość czysta, wprawdzie trwająca nieraz po 12-16 godzin dziennie, ale nie tak wyczerpująca, jak praca fizyczna na mrozie. Po pewnym czasie moja koleżanka katorżnicza Wanda Cejko, która pracowała w pracowni krawieckiej na terenie obozu, pomogła mi w załatwieniu pracy w tejże pracowni. Zaczęłam szyć na maszynie elektrycznej, najpierw w ciągu taśmowym, a potem przy szyciu kołder z waty, materacy z waty i sierści reniferowej i wiele innych rzeczy. Tam nauczyłam się szyć. Praca w pracowni krawieckiej była dwuzmianowa. Szyłyśmy po 12 godzin dziennie. Jednego miesiąca na nocną zmianę, na następny miesiąc na dzienną zmianę.

Pod koniec 1953 roku otrzymałam rozpaczliwy list z domu, zawiadamiający mnie o tym, że paczki i listy wysyłane do mojego brata jarka Odyńskiego wróciły. Brat mój Jeremi Odyński był aresztowany razem ze mną, osądzony w tej samej grupie, co i ja, i według tych samych paragrafów i z takimże wyrokiem, jaki ja otrzymałam, to znaczy 25 lat ZK i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich.

Podczas rozprawy sądowej udało mi się zamienić z nim kilka słów. Pocieszał wówczas mnie, żebym się nie bała, gdyż na pewno tego wyroku nie odsiedzimy i wcześniej wyjdziemy na wolność. Gdyby okazało się inaczej, wówczas on będzie organizował ucieczkę. Do tej wiadomości odniosłam się z pewną dozą pesymizmu. Ale wówczas nic mu nie powiedziałam, myśląc, że może to i lepiej, gdyż ta wiara pomoże mu przetrwać.

Odbywał wyrok na 40 kopalni w Workucie.

Przy pomocy grypsów rozpoczęłam poszukiwania mojego brata Jarka. W odpowiedzi na któryś tam z kolei gryps otrzymałam odpowiedź od nieznanego mi więźnia – katorżnika, zawiadamiający mnie o tym, że brat mój został zastrzelony podczas próby ucieczki wraz ze swoim kolegą. Potem przyszły grypsy od moich kolegów z 40 kopalni, w których oni dokładnie opisali mi koleje losu mojego brata Jarka, aż do chwili śmierci. Wiadomość ta była dla mnie szokująca. Kilka dni chodziłam jak w transie, nic do mnie nie docierało, jedyna myśl, jaką kierowałam do brata to była ta, że już nigdy go nie zobaczę. A przecież, przez wszystkie te lata myśl, że przetrwamy, że wrócimy kiedyś do domu rodzinnego, że wszyscy tak rozproszeni po świecie, kiedyś się spotkamy,

że wszyscy z Boską pomocą przeżyjemy tę gehennę i wrócimy szczęśliwie do domu rodzinnego – ta myśl nas podtrzymywała na duchu i nie dała nam się złamać. Mój Boże, ileż nadziei i niespełnionych marzeń, tęsknoty do swoich najbliższych tkwiło wtedy w tych naszych upodlonych przez wroga, wycieńczonych głodem i nadludzką pracą, ciałach naszych. Tylko nadzieja dodawała nam otuchy i sił w przetrwaniu tej gehenny.

Po kilku dniach, kiedy otrząsnęłam się z pierwszych wrażeń, postanowiłam napisać list do Rodziców. Z «Ryczłagu» można było pisać 2 listy rodzinne, lecz ja otrzymywałam z domu przemycane w paczkach pieniądze /w podwójnym dnie w proszku do zębów/ i miałam możliwość, płacąc wolnym zatrudnionym w obozie, wysyłania listów niecenzurowanych wolną pocztą i otrzymywałam również tą samą drogą. Ze zgrozą czekałam na odpowiedź i na rozpacz zawartą w liście. Życie było twarde i z tym trzeba było się pogodzić.

3 maja 1954 roku wezwał mnie naczelnik obozu i odczytał nowy wyrok. Po śmierci Stalina wiele grupowych spraw zostało ponownie rozpatrzonych zaocznie i wyroki zostały zmienione. Wszyscy z mojej sprawy, którzy mieli najwyższy wyrok 25 lat i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich, otrzymali 10 lat. W ślad za tym w roku 1954 wyszło zarządzenie, nie pamiętam tylko, czy było to zarządzenie lokalne, czy też odgórne, że ci, którzy odbyli ¾ wyroku, tę ¼ umarza się im i można wyjść na wolność, ale na tzw. «wieczną zsyłkę» na Workucie. Pod koniec 1955 roku nastąpiły pewne ulgi dla więźniów odbywających wyroki. Można było dostać na 1 dzień przepustkę i pojechać do miasta po zakupy. Znieśli «ryczłag» i za pracę zaczęli wypłacać niewielkie sumy. Część płacono w obligacjach, a część w gotówce.

Rozpoczęłam korespondencję z tym więźniem, który pierwszy zawiadomił mnie «grypsem» o śmierci mojego brata. Pisaliśmy «grypsy» różnymi drogami, przez wolnych pracujących w obozie, a najczęściej przemycaliśmy je w łopatach. Otóż prawie każda łopata miała w trzonku wydrążoną



dziurę i tam zrolowane grypsy przemycaliśmy. Tu muszę wspomnieć jeszcze o tym, że przy wyjściu do pracy i po powrocie każdy więzień był poddawany osobistej rewizji i znalezienie takiego grypsu groziło minimum 5 dób karceru tzw. «buru» o głodzie i chłodzie. Wiele z tych «grypsów» ginęło i nie docierało do adresatów, jednak wiele z nich docierało. Korespondencja nasza trwała od połowy 1954 roku do lutego 1956 roku, to znaczy do naszego ślubu. Dotychczas przechowuję grypsy mojego męża. Jest ich tak pokaźna ilość, że w wydaniu książkowym na pewno starczyłoby na minimum 250-stronicową książkę.

12 lutego 1956 roku odbył się nasz ślub. 21 grudnia 1956 roku wróciliśmy do Kraju.















JEREMI ODYŃSKI PS. «BABINICZ»



Jeremi Odyński, «Babinicz», Workuta 26.03.1953

Jeremi Odyński urodzony w 1930 r., zamieszkały w Brześciu nad Bugiem przy ul. Długiej 14, wstąpił do Szarych Szeregów na przełomie 1943-1944 r. Z relacji mojej cioci Antoniny Łuczaj, zamieszkałej w Warszawie przed II wojną światową i podczas okupacji niemieckiej wynika, że Jarek przyjeżdżał do Warszawy, będącej podówczas częścią Generalnej Guberni, kilkakrotnie w 1944 roku. Ciocia mówiła, że 5 lub nawet 6 razy. O tym wszystkim dowiedziałam się od cioci podczas spotkań rodzinnych w latach 60. Przyjeżdżał do Warszawy z jakimiś dokumentami. Szczegółów nie pamiętała, a i Jarek nie wtajemniczał jej w swoje sprawy. Ostatni raz był u niej w lipcu 1944 r. i wiadomo było, że wkrótce ma wybuchnąć powstanie. Chciał zostać w Warszawie, żeby wziąć czynny udział w Powstaniu, lecz mój brat cioteczny, Leopold Łuczaj, (rok urodzenia 1920), żołnierz AK, który brał czynny udział w Powstaniu Warszawskim, ps. «Vis», kategorycznie zabronił mu i Jarek wrócił do Brześcia nad Bugiem. Z relacji cioci i Lonka wynika, że brał czynny udział w Szarych Szeregach w Brześciu nad Bugiem i okolicach.

W czerwcu 1943 r. na terenie Polesia była ogromna «wsypa» członków Szarych Szeregów. W ciągu kilku dni Niemcy aresztowali bardzo dużo młodzieży, wśród nich mojego brata Stefana Odyńskiego. Ja od czerwca 1943 roku, przez 3 miesiące, ukrywałam się na kolonii państwa Piwonich, niedaleko wsi Motykały. U państwa Piwonich była melina akowska, ich synowie Piotr i Jerzy byli także akowcami. Tam zostałam przeszkolona w strzelaniu oraz w zakresie udzielania rannym pierwszej pomocy. Tam też zostałam zaprzysiężona i pod ps. «Jaskółka» przetransportowana najpierw do Wysokiego Litewskiego, a następnie do Wołkowyska, gdzie pełniłam najpierw funkcję łączniczki w Rejonie Obwodu Wołkowyskiego Okręgu Białostockiego. Następnie od lutego 1944 roku byłam sanitariuszką w oddziale dywersyjnym, dowodzonym przez porucznika ps. «Boruta». W maju 1944 roku w czasie obławy w lasach koło Janowca uległam kontuzji na skutek pobliskiej eksplozji pocisku artyleryjskiego w czasie udzielania pomocy rannemu partyzantowi. Atak partyzanci odparli i pod osłoną nocy przewieziono mnie do miejscowości Mścibów na melinę, gdzie przeleżałam do września 1944 roku. W lipcu w tym rejonie przeszedł front i znów nastąpiła sowiecka okupacja. Pod koniec września wróciłam do domu, do Brześcia nad Bugiem. Dopiero w połowie lat 70. i 80. odezwała się kontuzja. Okazało się, że miałam złamaną prawą stronę miednicy, która zrosła się z przemieszczeniem. Piszę o sobie dlatego, że w tym okresie, kiedy mój brat Jeremi Odyński należał do Szarych Szeregów i działał, mnie nie było w domu, ani na tym terenie. Potem, po wojnie, o tym się nie mówiło. Ja także milczałam o swojej prawie półtorarocznej nieobecności w domu, Jarek również nie opowiadał o swojej w tym czasie działalności.

Terror, jaki zapanował w Brześciu nad Bugiem i na całym Polesiu, wprowadzony przez stalinizm, zamknął usta tym, którzy »»»

»»» działali podczas okupacji niemieckiej. Tuż po wkroczeniu wojsk sowieckich na Polesie zostały rozklejone obwieszczenia, żeby ci, co brali udział zbrojny przeciw zaborcy niemieckiemu, ujawnili się i zdali broń. Wielu Polaków ujawniło się. Niestety już ich nie wypuścili, zasądzili, wielu z nich rozstrzelali, a wielu z wysokimi wyrokami wywieźli do łagrów sławetnego Gułagu. Pozostali, widząc co się dzieje, nie ujawnili się i nadal pozostali w ukryciu. Taka sytuacja trwała do roku 1946. W 1946 młodzież polska, mająca przeszłość okupacyjną, a także młodzież jeszcze wtedy nieletnia, wstępowała do organizacji zwanej ZOW – Związek Obrońców Wolności. Celem ZOW-u było zachowanie polskości Polesia. ZOW obejmował Brześć, Kobryń, Peliszcze-Zaluzie i sięgał aż po Baranowicze. W załączeniu do tego pisma podaję spis 73 osób-młodzieży, sądzonych przez Wojskowy Trybunał Białoruskiej Republiki Radzieckiej w roku 1948 i skazanych na najwyższe kary tj. 25 lat pozbawienia wolności i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Wszystkich członków ZOW-u wywieziono do słynnego Gułagu, do różnych łagrów. Obecnie ZOW – jako ostatni bastion wolnościowy na Polesiu już po II wojnie światowej został uznany przez Światowy Związek Żołnierzy AK i wcielony do 30. Dywizji Poleskiej.

Wracam teraz do lat łagrowych mojego brata Jeremiego Odyńskiego. Kilku ZOW-iaków przewieziono do Workuty za kołem podbiegunowym na 40 kopalnię węgla kamiennego. Byli z nim do ostatnich dni jego życia: Ryszard Snarski, Tadeusz Kunachowicz, Janek Bielawski, Władysław Trzeciak, Stanisław Ostromęcki i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam. Z relacji kolegów dowiedziałam się, że pracował jako monter na maszynie wyciągowej w kopalni. Pracował po 8 godzin dziennie +2 godziny dojście do kopalni i z kopalni do łagru. Był koleżeński, dużo czytał, wypożyczał książki z biblioteki łagrowej, pisał wiersze i ciągle nurtowała go myśl o tym, żeby zorganizować ucieczkę z łagru dla wszystkich Polaków. Pamiętam taki mały epizod, kiedy po odbytym sądzie w Brześciu nad Bugiem można było chwilę porozmawiać z nim. Mieliśmy 15 minut czasu na rozmowę. Jarek

МВД СССР
МИНИСТЕРСТВО ВНУТРЕННИХ ДЕЛ Коми АССР
УПРАВЛЕНИЕ исправительно-трудовых учреждений
Отдел архивный
5 апреля 1991 г.
№ 12/580
гор. Воркута

вх. 444 Экз. 1

Секретарю общества "Мемориал"
тов. Шутовой [illegible]
169901 гор. Воркута,
ул. Московская, д. 25
На № 136 от 12.03-91г.

Сообщаем, что гр-н ОДЫНСКИЙ Еремей Феликсович, 1930 года рождения был похоронен на кладбище лаготделения № 5 /в районе 40 шахты/ номер могилы 60-В.

Зав. архивом УИД МВД
Коми АССР [illegible] И.С. [illegible]

Pismo MBD z Workuty

przepraszał mnie, za to, że wciągnął mnie do ZOW-u i teraz muszę cierpieć przez niego. Uspokoiłam go, że nie on jest winien, że przecież każdy Polak zamieszkujący Polesie miał obowiązek walczyć o zachowanie polskości tych ziem. Uspokoił mnie słowami: «na pewno nie będziemy tyle siedzieć w łagrach, ja zorganizuję ucieczkę i was wszystkich wyprowadzę na wolność». To były jego słowa jeszcze w więzieniu. Odpowiedziałam mu: «Jarek nie myśl o ucieczce, rząd Polski na pewno nas nie opuści, upomni się o nas, przecież to głośna sprawa i na pewno wrócimy do kraju».

Nadszedł rok 1953, w maju zmarł Stalin, a z nim skończyła się epoka stalinizmu. ZOW-iaków również zaocznie osądzono i zamieniono wyroki z 25 na 10 lat pozbawienia wolności. W 1954 roku władza łagrowa tzw. Operupełnomoczennyj przeczytał mi nowy wyrok. Mniej więcej w tym samym czasie wszyscy ZOW-iacy otrzymali nowe wyroki. Jarka nie opuszczała w dalszym ciągu myśl o ucieczce. Kilka miesięcy pracował z kolegami nad wykopem pod drutami kolczastymi i tzw. «Zapretnzon». W sierpniu 1953 roku wykop był zrobiony. Polacy pracujący w elektrowni TEC II, w ramach dywersji uszkodzili przewody. Workutę zaległa ciemność. Pod osłoną nocy Jarek wraz ze swoim kolegą uciekli jako pierwsi. Wkrótce awarię w elektrowni usunięto, ochroniarze, robiący obchód z psami dookoła obozu, zauważyli ślady na śniegu i natychmiast rozpoczęli pościg. Jarek z Januszem Preuznerem dotarli do rzeki Workuty, przeprawili się wpław i skierowali na północ do Karskich Wrót, gdzie spodziewali się wejścia na jakikolwiek statek, aby opuścić Związek Radziecki. Pościg trwał kilka godzin, zostali złapani kilkanaście kilometrów od obozu. Z odległości 2 metrów strzałem w czoło zostali zastrzeleni, a później jeszcze serią z automatu przez klatkę piersiową. Ciała rozebrali do naga i położyli obok bramy łagru 40 kopalni i tam leżeli na śniegu przez tydzień ku przestrodze innym, że nie wolno z łagru uciekać. Po tygodniu zostali pochowani we wspólnym grobie pod nr 60-B. W roku 1991 zwróciłam

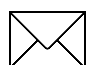

Zowowcy przy grobie Jeremiego Odyńskiego



się pisemnie do Memoriału w Workucie z prośbą o umożliwienie mi odnalezienia grobu brata, ewentualną ekshumację i przewiezienie jego szczątków do kraju. W 1992 r. przywieziono mi z Workuty pismo MWD CCCP (Ministerstwo Wnutrennich Dzieł) z dn. 12.03.91 r. określające miejsce grobu Jeremiego Odyńskiego ur. 1930 r., a od Memoriału zaproszenie na przyjazd. Po 36 latach pojechałam tam, ale grobu brata we wskazanym miejscu już nie było. Z 2 cmentarzy kopalni nr 40 zachowało się tylko 6 mogił. Reszta została zniszczona, a przez grób mojego brata Jarka przechodzi teraz ul. Kirowa nowego osiedla górniczego. Jest to historia mojego brata Jeremiego Odyńskiego, którą odtworzyłam po powrocie z »»»



»»» Workuty w latach 60. na podstawie relacji mojej cioci Antoniny Łuczaj i kolegów Jarka, pracujących z nim w łagrze. Relację dokładną o jego śmierci zdała mi Rosjanka, kierowniczka KWCz (kulturalno-wospitatielnoj czasti), która tę funkcję pełniła w łagrze 40 kopalni w tym okresie.



Jeremi Odyński
Workuta, sierpień 1953

Ostatni list...

Odchodzę na Zachód...
Zabieram wspomnienia,
A wieści o Was – Przekażę Najbliższym!
A jeśli nie dojdę Pogrzebcie głęboko,
Wszak mrozy tu wielkie,
I wilki i lisy...
A może jednak Nie kopcie głęboko,
A może jednak Trochę bliżej nieba.
Bo wierzę, że kiedyś...
Jakaś Wielka Wiosna – Roztopi lody...
Pieczary, Workuty...
Bo wierzę, że kiedyś Gdy zakwitnie tundra,
I trawy pachnące Nas wszystkich obudzą...
Wstaniemy – powiemy!
Ej, bracia Słowianie!
Czemu zniewalacie?
Na tym świecie wielkim Tysiące Narodów
Ma swoje Ojczyzny,
A to, że Polacy, Litwini,
Że krzyże...
Że dziwni poeci,
I że inne wiersze...
Że smutne cmentarze,
Dziewczyny ładniejsze...
Uwierzcie Rosjanie Na tej naszej ziemi Nie może być wszystko W czerwonym kolorze!
Na tej pięknej ziemi,
Są też inne barwy,
A życie nie może – Przemijać w niewoli..

Ten «list-wiersz-testament» (?) odnaleźli koledzy po wyjściu Jarka na wolność... Udał się on, wraz z kolegą niedoli, powstańcem warszawskim rodem ze Śląska do Ojczyzny. Do Polski było ok. 2000 km – przeszli zaledwie 10, kiedy dopadł ich pościg z psami. Zginęli obaj w strasznych torturach, ale zmarli w swoim pojęciu i świadomości jako ludzie wolni, za drutami... Było to 27 sierpnia 1953 roku... Jego grób był przy kopalni węgla «40» w tundrze, dziś biegnie tam ulica Kirowa, osiedle górnicze stanęło na kościach ludzkich, tylko dzielnica nazywa się jak dawniej – «Komsomolskaja...» Jeremi Odyński ps. «Babinicz» jest symbolem harcerza-łagiernika w środowisku Szarych Szeregów.

Relację o bracie Jeremim Odyńskim z jego fotografią, wierszem «Ostatni list» oraz kopią pisma MWD z Workuty składa siostra Natalia Odyńska-Zarzycka dnia 15 lutego 1995, Warszawa.



ZYGMUNT STACHOWICZ PS. «ŻMUDZIN»

ŻYCIORYS

Urodziłem się 22.02.1931 r w Brześciu n. Bugiem (Polesie). Ojciec mój, Adam pracował jako teletechnik w Wojewódzkim Urzędzie Poczt i Telegrafów, a matka Anastazja z d. Kasperowicz tamże jako telegrafistka. Mieliśmy dom przy ulicy Szpitalnej Nr 109 w pobliżu rzeki Muchawiec. Gdy w 1939 r wybuchła wojna, zacząłem naukę w 3-ej klasie szkoły powszechnej Nr 3. Miałem starszego brata Stanisława, młodszego o 7 lat Stefana, a najmłodszy zmarł wkrótce po urodzeniu w 1939r.

Po zdobyciu twierdzy brzeskiej przez pancerne jednostki Guderiana wkroczyli Sowieci i już zimą aresztowali ojca, a parę dni przedtem dyrektora Urzędu Korwin-Krukowskiego, co tragicznie odbiło się na losach naszej rodziny i wpłynęło na postawy naszych charakterów w przyszłości. W 1941 r znów przyszli Niemcy, jesienią rozpocząłem czwartą klasę tej samej szkoły i po jej ukończeniu w 1942 r. zacząłem uczęszczać na komplety tajnego nauczania zorganizowanego przez grono ofiarnych nauczycieli zmobilizowane przez władze Polski Podziemnej. Byłem jednym z najzdolniejszych uczniów i zaufanym nauczycieli. Zaliczając materiał z paru klas rocznie w 1944 roku ukończyłem czteroklasowe gimnazjum, co było równoznaczne z maturą. Komplety tajne odbywały się w różnych pomieszczeniach, a w 1943 roku nawet w naszym mieszkaniu. Prowadziłem też w tym czasie szkolną bibliotekę. Nauczycielami byli: Jadwiga Ostaniewicz, Jadwiga Suszyńska, Dobrowolska, Dudzińska, Julian Szpunar i inni.

Późną jesienią 1941 r zamieszkali u nas dwaj panowie. Zameldowani pod nazwiskami:

1) Marian Słodzik – jak się później okazało oficer AK Kontrwywiadu ps. Francuz, Rajski – Aleksander Kunicki, autor książki «Cichy front».

2) Stanisław Barwicz ps. Władysław, również oficer AK – funkcje i dalsze losy nieznane. Mieli liczne kontakty z moją ciotką Helena Kasperowicz – zamieszkałą nieopodal łączniczką AK. Na naszej posesji w drewutni mieli tajną skrytkę w skrzynce na drewno, w której przechowywali różne dokumenty i przedmioty, o czym wiedzieliśmy z bratem Stanisławem, bo wkrótce staliśmy się ich kurierami przenoszącymi zaszyfrowane kartki i przedmioty we wskazane miejsca lub adresy. Naturalnie byliśmy w tych czynnościach przeszkoleni. Od nich dowiedzieliśmy się o formowaniu wojska polskiego na wschodzie przez Gen. Andersa z więźniów i zesłańców, co budziło w nas nadzieję, że i nasz ojciec tam się znalazł. Okazało się to prawdą. Odeszli oni z naszego mieszkania w końcu 1942 r, akurat przed rewizją Gestapo w naszym domu poszukujących obcych osób.

W 1943 r. Podziemie Polskie w Brześciu i województwie osiągnęło największy rozkwit, ale poniosło też olbrzymie straty ludzkie, co budziło chęć do walki i bezsilną złość społeczeństwa. W naszej parafii podwyższenia Św. Krzyża rozstrzelany został wielki patriota ks. dziekan Urbanowicz, jako zakładnik w odwecie za odbicie z więzienia pińskiego słynnego Alfreda Paczkowskiego, cichociemnego pseudonim Doktor albo kapitan Wania. Aresztowany został też ks. Stanisław Lazar. Przybył natomiast z Pińska nowowyświęcony ks. Jerzy Rosiak mający wielki wpływ na ludzi a zwłaszcza na młodzież, która go uwielbiała. Świetnie zorganizował ministrantów, chóry kościelne, tak, że nabożeństwa wyglądały bardzo widowiskowo i kościół stawał się ośrodkiem życia publicznego i szkołą patriotyzmu przygnębionej społeczności brzeskiej. Wówczas ja wstąpiłem do ministrantów, których »»»

»»» liczba była około 40 osób i wkrótce zostałem ich prezesem oraz prawą ręką ks. Jerzego, który miał do mnie ogromne zaufanie. W tym czasie przyjeżdżał do naszej parafii jezuita ojciec Wacław Jaziewicz, który bardzo łatwo nawiązywał kontakt z młodzieżą i polubił mnie również. Ks. Rosiak zainteresował mnie ideą harcerstwa, bo sam miał stopień harcmistrza. Zapoznał mnie jakie zadania ma spełniać organizacja w czasie wojny i zaproponował mi wstąpienie do «Szarych Szeregów». Wiosną 1944 r zdałem egzamin ze sprawności, ze znajomości prawa harcerskiego oraz zadań, jakie na nas nakłada Polska Walcząca i złożyłem na jego ręce przysięgę na wierność tym zasadom oraz dochowania tajemnicy. Przyjąłem pseudonim Żmudzin. Front zbliżał się coraz bardziej i kto był w konspiracji, był powiadomiony, że trzeba gromadzić broń i amunicję przygotowując się do powszechnej mobilizacji na akcję «Burza». W czerwcu naszą dzielnicę otoczyło wojsko i dom po domu wyprowadzano mieszkańców ładując na samochody i wywożąc do prowizorycznego obozu w pobliżu kolei. Ja z bratem ukryliśmy się w ogrodzie, potem z samochodu uprowadziliśmy matkę z młodszym bratem, a następnego dnia ciotkę z babcią wykradliśmy z obozu i całą rodziną przedostaliśmy się do Ostromaczewa, gdzie przyjęła nas polska rodzina. W lipcu zastał nas tam front, podczas którego zniszczeniu uległa cała wieś, a my cudem uniknęliśmy rozstrzelania przez Niemców. Brześć już był coraz częściej bombardowany i wkrótce wkroczyli tam Sowieci. W dniach pofrontowych ukryłem pod kościołem w Ostromaczewie kilka tysięcy kul karabinowych, granatów i pociski do moździerza, zdobyłem krótką broń, którą udało mi się przerzucić do Brześcia. Ta broń miała być wykorzystana w akcji «Burza», a zgromadzona była na rozkaz «Szarych Szeregów».

Po powrocie do Brześcia zastaliśmy dom pełen wojska – mieścił się u nas sztab jednostki Armii Czerwonej. Wnieśliśmy się do jednego pokoju i zaczęliśmy życie od nowa. Głód był niesamowity, odzieży całkowity brak. Od sierpnia widać było kłęby dymów nad Warszawą, nocą łuna pożarów świeciła jak wybuch wulkanu i słychać było głuche odgłosy bomb i artylerii. Oficerowie pocieszali nas, że pod Stalingradem było jeszcze gorzej. Wielu znajomych już nie było widać – uciekli z miasta, młodzież poszła z 30. Dywizją AK na pomoc Warszawie, wielu już trafiło do więzień i łagrów, jak mówiono w «łapy sowieckie». Tajne komplety przestały istnieć, ci co zostali, starali się odtworzyć zerwane więzi i przystosowywać się do nowej rzeczywistości. W politycznych nastrojach nastąpił zamęt i przygnębienie. Nikt nie wiedział co robić i co będzie dalej, sowiecka propaganda pogłębiała zamęt celowo dezinformując i chwaląc tylko swoje sukcesy na froncie oraz wszędzie głosząc swoje rychłe władanie całym światem. Coraz donośniejszym głosem władza sowiecka dawała Polakom znać w różny sposób, że ich miejsce jest za Bugiem w Polsce, w której dzięki komunistom zawiązuje się wieczna przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. On to pomoże polskiemu narodowi wydobyć się z odwiecznej nędzy i zacofania oraz zmienić orientację polityczną, która dzięki ślepocie i nieuzasadnionym fobiom naszych przywódców doprowadziła do tylu niepotrzebnych klęsk i tragedii cały polski naród i państwo. Wśród nie-Polaków szerzono propagandę obrzydzania okresu wyzysku przez nieudolnych i krwiożerczych polskich panów. Białorusini jednak nie dali się podburzyć tymi antypolskimi hasłami i dość gorzko oceniali swój los po wyzwoleniu spod jarzma polskich panów i niemieckich najeźdźców. Polacy zaś coraz bardziej byli świadomi swoich olbrzymich ofiar oraz beznadziejności wysiłków i walk wobec zdrady jaką zafundowali nam przyjaciele z Zachodu, którym byliśmy tak wierni i ufni.

W tej beznadziejności rodziła się nieuzasadniona wiara w nadejście rychłej wojny państw zachodnich z Sowietami, w której Sowieci muszą przegrać. Wiara ta obejmowała umysły coraz szerszych kręgów społeczeństwa.

Rzeczywistość jednak kazała myśleć bardziej trzeźwo. Coraz większa część ludzi

wyjeżdżała za Bug, aż ten wyjazd stawał się masowy. Dla nas wyrosłych na tej ziemi, która była najbardziej polska ze wszystkich ziem było to nie do przyjęcia. Ks.Rosiak namawiał raczej do pozostania i przygotowania się do obrony polskości i wiary w sposób pokojowy nawet przez długie lata. Ojciec Jaziewicz natomiast wierzył w rychłe powstanie ogólnonarodowe polskie i widział potrzebę organizowania się młodzieży na wzór bojowych oddziałów Armii Krajowej. Ja i wielu moich kolegów widzieliśmy drogę może bardziej pośrednią: zapaść w głęboką konspirację, a nie afiszować się swoim patriotyzmem i wrogością do komunizmu, ale zaciekle bronić w duszy swoich przekonań narodowych i religijnych, przekazywać je następnym pokoleniom, lecz być przygotowanym na ewentualne wydarzenia zbrojne, czy też inne, niekorzystne dla Sowietów. W tym celu należało rozwijać samokształcenie, żeby nie ulec zbolszewiczeniu i rusyfikacji, a ponadto rozwijać w sobie cnoty i sprawności harcerskie i także umiejętności wojskowe na wzór dawnego POW (Polskiej Organizacji Wojskowej). Większość młodzieży, z którą stykaliśmy się akceptowała raczej mój kierunek działania. Te dyskusje toczyły się jedynie w zaufanych kręgach. Podobnie myślących zebraliśmy około 20 osób. Następujące w tym czasie wydarzenia zmusiły nas do konkretnych działań. A mianowicie:

Transporty ludności udające się za Bug czekały na bocznicach po kilka dni i więcej na wyjazd do Polski. W tym czasie były one często napadane i grabione przez różne grupy przestępcze. Więc staraliśmy się im zapewnić ochronę i wszelką pomoc, co przy szykanach i terrorze sowieckim nie było łatwym zadaniem, gdyż każdy patrol wojskowy czy milicyjny mógł Cię zaprowadzić do NKWD lub Izby Zatrzymań Podejrzanych (KPZ). Ponadto zaczęły jechać transporty Polaków niegdyś wyjeżdżających na Sybir do Polski, którzy byli głodni i obdarci więc robiliśmy zbiórki wśród mieszkańców i dostarczaliśmy im co było można. Poza tym w Brześciu był obóz przejściowy na tak zwanej Kolonii Żydowskiej, funkcjonował jeszcze za Niemców; byli tam internowani żołnierze włoscy, a teraz przede wszystkim Polacy wywożeni z terenów Polski – tym też mieliśmy pomóc, a także potem Polakom wracającym z niewoli Sowieckiej, będących w szeregach niemieckiej armii.



Brześć, lato 1947 r., Od lewej: Jan Konikiewicz, Zygmunt Stachowicz, Jerzy Komaryniec, ks. Jerzy Rosiak, Stanisław Sielutin, Heniek Leśniewski, Władek Modzelewski i Janusz Bielawski.

Władze sowieckie wznowiły szkolnictwo w Brześciu, w tym została otwarta Polska Szkoła z Sowieckim programem nauczania, do której wstąpiłem ja z racji wieku szkolnego oraz cała pozostała młodzież, niektórzy wprost z partyzantki, często w mundurach. W szkole tej często dochodziło do starć z kierownictwem na tle poglądów politycznych i kulturowych. Program nauczania był przecież marksistowsko-leninowski, wykładali też politrucy jak w wojsku. Wielu nie mogło ścierpieć takiego wychowania i nauczania toteż postanowiliśmy zorganizować kursy samokształcenia na wzór tajnych kompletów. Brakowało nade wszystko kadry nauczycielskiej. Toteż ja wykładałem historię, literaturę, w której byłem biegły, a nawet język niemiecki. Przedmiotów ścisłych uczył Sędzia Grodzki – Romanowski (Staruszek). Natomiast w kręgach tylko zaufanych ks. Rosiak i ja omawialiśmy zagadnienia wychowania harcerskiego, w ścisłym gronie zgłębialiśmy przysposobienie wojskowe, w czym celował mój brat Stanisław, ponieważ miał olbrzymią wiedzę i zdolności saperskie i kochał broń. Podobne lekcje odbywały »»»

»»» się u mnie w domu, a ćwiczenia praktyczne z zakresu umiejętności posługiwania się bronią – w bezpieczniejszym terenie (najczęściej były to ruiny i odległe tereny poza miastem). Ćwiczyliśmy walkę wręcz i podstawy samoobrony. Wyłoniła się w tym czasie jeszcze inna potrzeba działania, a mianowicie ratowanie materialnych przedmiotów polskości, a więc książek, dokumentów historycznych, przedmioty kultu religijnego, ponieważ to wszystko z zaciekłą furią niszczyli bolszewicy. Niszczone były dwory, kościoły, nawet krzyże przydrożne, mogiły powstańcze, biblioteki polskie, które zdołały przetrwać wojnę. To działo się przeważnie w terenie, zwłaszcza tam, skąd ludność polska wyjechała. Widziałem to, bo sam często jeździłem w promieniu 50 km z księdzem odprawiającym posługi kapłańskie w terenie.

Przewidując taki los i dla naszego kościoła, zaczęliśmy chować wśród rodzin polskich co cenniejsze rzeczy. Ja na przykład ukryłem 2 duże kosze naczyń i szat liturgicznych oraz wiele książek z biblioteki parafialnej, w tym 4 egzemplarze pod tytułem «Ksiądz Arcybiskup Cieplak» (opis niszczenia katolicyzmu w Leningradzie po rewolucji), które były dowodem na moim sądzie jako przestępstwo propagowania literatury antysowieckiej (§ 63 – la pkt 76). Szaty i naczynia liturgiczne zaś posłużyły do zarzutu jakobym je nabył poprzez rabunek kościoła. W tych akcjach ratowania i niesienia pomocy transportom byłem kilkakrotnie zatrzymywany przez patrol sowiecki – do wyjaśnienia: skąd wracam i dokąd idę. Za każdym razem wszystkie dane jak też i odpowiedzi na pytania były protokołowane. Inni koledzy też mieli takie zdarzenia.

Do Brześcia przybywały ze Wschodu całe tłumy oberwanych i zdziczałych od głodu ludzi, którzy kradli i byli bardzo niebezpieczni, zwłaszcza po zmroku, a z tych szczególnie głodne, zezwierzęcone były dzieci. Miasto miało wygląd przygnębiający, nie było prądu. W mieście ginęło po kilku – kilkunastu ludzi. W takiej to ponurej atmosferze próbowaliśmy coś zdziałać pozytywnego i po części to się udawało. Choćby ta pomoc wywożonym i przywożonym z Syberii, zbiegom i wszystkim, których dotknęło jakieś nieszczęście. Ale na te przejawy ludzkiej i obywatelskiej samopomocy i solidarności, organizowanie się władze sowieckie patrzyły jako na działania z gruntu antysowieckie i dlatego reagowały w sposób represyjny, szykanujący. Należy przyznać, że nowy okupant miał niesamowite zdolności penetracyjne każdego terenu i każdego środowiska, przenikania wszystkiego, co było dlań zagadką i niewiadomym. Poznaliśmy tę taktykę bolszewicką i dlatego działaliśmy, nie dając powodów by mogli zarzucić nam jakąś działalność zorganizowaną, podporządkowaną jakiemuś ośrodkowi władzy, działania na czyjś rozkaz. Doszukiwało się tego NKWD, więc często byliśmy zatrzymywani na ulicy, wzywani do różnych urzędów celem wyjaśnienia czegoś. W szkole, w domu, w pracy itp. Czuliśmy, że jesteśmy pilnie obserwowani, a szczególnie dotyczyło to kościoła i życia parafialnego. Nie wiadomo było, ilu ludzi zdołali już zwerbować do współpracy, ale chyba bardzo niewielu.

Późną jesienią 1944 r. aresztowano resztki ukrywających się działaczy AK, w tym Komendanta Okręgu Polskiego panią Swarcewicz «Mamę», jej męża «Tatę», starszego syna «Władysława», a także młodszego syna Jurka «Małego», naszego kolegę ministranta i członka «Szarych Szeregów». Zanosząc jemu paczkę do więzienia, zostałem zatrzymany na ulicy, wylegitymowany i sprawdzony, co tam robiłem pod murami więzienia. Było to zimą z 1944 na 1945 r. W szkole również zauważyliśmy, że brakuje kilku starszych kolegów, których uważaliśmy, że są z partyzantki w tym Czesława Hołuba. Myśleliśmy, że zostali aresztowani, a okazało się potem, że zdołali uciec za Bug. Wiosną z kolei pojawiło się w kościele kilkanaście osób dobrze ubranych i dowiedzieliśmy się od księdza Jerzego, że to jest arystokracja polska – Radziwiłłowie, Potoccy, Lubomirscy wiezieni z Polski na Sybir. Pozwolono im bez straży iść do miasta i odwiedzić kościół. Znacznie później widziałem na stacji przeładunek z jednego pociągu do innego około 200 żołnierzy w mundurach

andersowskich. Ci byli już jednak pod silną eskortą z psami. Mogłem się tylko przyglądać, stojąc wysoko na kładce dla pieszych. To był rok zakończenia wojny. Związek Radziecki triumfował. Wobec jego potęgi i wszechwładzy reszta świata wydawała się strasznie biedna i nieciekawa. Przez Brześć jechały transporty radosne wracających do Polski, a okratowane wagony wypełnione smutnymi ludźmi podążały na wschód. Ksiądz z ambony wciąż apelował o pomoc dla wynędzniałych i głodnych ludzi. A my, młodzież polska, też głodni i obdarci staraliśmy się pełnić misję, jaką włożyła na nasze barki okrutna nasza historia. Aktywnością wyróżniali się tutaj Stanisław Sielutin, Jerzy Komaryniec, Janusz Bielwaski, Maria Furmaniak – wszyscy członkowie «Szarych Szeregów» i naszej organizacji. Któregoś letniego dnia zostałem zatrzymany na ulicy Dąbrowskiego, gdy wracałem do domu, przez patrol wojskowy, który zaprowadził mnie nie pytając do izby zatrzymań osób podejrzanych. Teraz mnie zrewidowano i zamknięto w celi pełnej różnych osób wyglądających na przerażonych, zmęczonych i brudnych. Po kilku godzinach, gdy już było całkiem ciemno, zostałem wezwany do pokoju, gdzie siedział przy stole oficer o szklanych oczach i zaczął pytać kto ja jestem i co robię o tak późnej porze na ulicy. Odpowiedziałem, że jestem uczniem i wracałem od kolegi, z którym odrabialiśmy lekcje. Jesteś Polakiem? To jest w Brześciu polska szkoła? A gdzie mieszka ten kolega, gdzie pracuje, a ty czy masz ojca i czym on się zajmuje, a czy znasz tego i tamtego? Podaje jakieś nazwiska nieznane. Wszedł jakiś wojskowy, przypatrywał mi się, potem poszeptali ze sobą i odprowadzili do celi z powrotem, kazali spać.

Rano znowu byłem na przesłuchaniu, był inny oficer, ale wciąż podobne pytania powtarzane w kółko i tak po 2 czy 3 dniach puścili mnie do domu, co pełen przerażenia, ale i błogiego szczęścia uczyniłem z radością. W domu zastałem zapłakaną babcię, myślała, że już coś ze mną stało się niedobrego. Matka z ciotką poszły w tym czasie na wieś, by zdobyć coś do jedzenia. Brat Stanisław zajmował się jak zwykle zbieraniem amunicji i broni, którą to ukrywał w sobie znanych skrytkach. Montował ładunki wybuchowe i pokazywał nam w ramach szkoleń, że wybuchają bezbłędnie. Kiedyś wysadził przęsło mostu na odbudowywanym moście przez rzekę Muchawiec na szosie do Kowla. Uświadomiło to nam, że takich działań należy unikać, gdyż NKWD ulegnie przekonaniu o istnieniu jakiejś tajnej organizacji o charakterze wojskowymi, wzmoże działania prewencyjne i represyjne. A ten incydent zaostrzył już ich czujność. Dopóki mieszkali w naszym domu oficerowie stacjonującej obok jednostki, byliśmy bardziej bezpieczni, gdyż każde sprawdzenie naszego adresu zamieszkania kończyło się zaniechaniem dalszego postępowania. Obecnie mieszkał u nas z żoną kapitan – lekarz wojskowy, dzięki czemu też dawało to nam poczucie jakiegoś bezpieczeństwa.

W tym też roku 1945 nawiązaliśmy kontakt z Polską za pośrednictwem kolejarzy polskich i wiedzieliśmy, co się dzieje za Bugiem. Szczególnie jeden z nich pan Wierszczyński, członek podziemia jeszcze z czasów okupacji niemieckiej, dostarczył nam listy od mego ojca andersowca i jego zdjęcie, czym bardzo podtrzymał na duchu naszą rodzinę. Po moim aresztowaniu w 1948 r. śledczy bardzo mnie indagował o kontakt z tym panem. Podobne miała zarzuty Tala Odyńska i jej brat Jarek. Tala Odyńska przybyła niedawno z Nowogródczyzny, gdzie była łączniczką AK, a w naszym środowisku ZOW prowadziła szkolenia jako sanitariuszka razem z naszą chórzystką Marią Furmańczak. Jej brat Jeremi był członkiem «Szarych Szeregów» z czasów okupacji i teraz udzielał się bardzo w naszej organizacji. Dzięki niemu zdobyłem rower, maszynę do pisania i 2 aparaty fotograficzne, które to rzeczy były dowodem w śledztwie technicznego wyposażenia naszej antyradzieckiej organizacji ZOW – AK. Nazwa ZOW – Związek Obrońców Wolności przyjęła się od 1944 r, żeby nie narażać Białorusinów, że chcemy bronić tylko polskości. Był już w naszych szeregach Białorusin Aleksy Piskanowski, »»»

»»» którego ojciec, pop prawosławny, bardzo nam sprzyjał, a podczas sądu naszego wykazał się bardzo patriotyczną, propolską postawą, czym wzbudził wściekłość naszych sędziów i prokuratorów. Wolność dla wszystkich narodów to najbardziej antybolszewickie hasło, gdyż podstawą swej siły widzieli bolszewicy w zniewoleniu innych. Organizacja nasza miała za cel zachowanie swojej tożsamości narodowej i religijnej poprzez budzenie świadomości wśród osób zobojętniałych, dorastającej młodzieży, aby w stosownej chwili móc walczyć orężnie.

Wielu naszych kolegów wyjechało już do Polski. Kilku wstąpiło do komsomołu, a my staraliśmy się cos uczynić pozytywnego nie mając ani dowódców wojskowych, ani znanych działaczy społecznych, czy też politycznych, ani żadnej bazy materialnej, bo cierpieliśmy coraz większą nędzę. Ale trzeba było działać. A więc Heniek Leśniewski wyjechał do Nieświeża, starej siedziby Radziwiłłów, aby pomagać księdzu Kłosowskiemu jako organista i kościelny, przygotowując dzieci do I-szej Komunii i Bierzmowania. Do Baranowicz wyjechali dwaj bracia Konikiewicze w tym samym celu, bo tam już opuszczone parafie obsługiwał nasz dziekan ks. Wacław Piątkowski. Takie funkcje stwarzały warunki bytowe i umożliwiały szerokie kontakty z ludźmi. Jarek Odyński zatrudnił się jako konwojent transportu na trasie Brześć – Donbas. Prócz zarobku miał pozwolenie na broń. Rysiek Snarski podjął pracę w rzeźni, mógł wyżywić swoją dużą rodzinę. Mój brat zajmował się po trosze handlem. Od żołnierzy rosyjskich można było kupić wszystko, zwłaszcza za samogon – konie, rower, tuszonkę amerykańską oraz inne skarby wiezione jako zdobycz wojenną. Mnie ks. Rosiak nauczył introligatorstwa, dużo ciekawych książek bardzo zniszczonych mogłem przywrócić do używalności. Rozwijaliśmy nasze zdolności. Jurek Styczyński był artystą malarzem i malował o tematyce patriotycznej. Podobnie Wiesiek Konikiewicz. On jak i jego brat Janek mieli zdolności muzyczne. W ogóle młodzież ta była zdolna, pracowita i wrażliwa. Rozwijała w sobie cnoty obywatelskie i humanistyczne. Nawiązywaliśmy kontakty z innymi skupiskami Polaków na Polesiu np. z Kobryniem, gdzie Janek Komorowski był dowódcą dużej grupy młodzieży akowskiej, sam były członek Wachlarza podobnie jak Stanisław Ostromęcki. Byli tam ludzie związani z 27. Wołyńską Dywizją AK, jak Gienek Wojtyniak. Duża grupa patriotycznie działającej młodzieży była w wielkiej polskiej wsi Peliszcze, która to wieś wydała kilkuset partyzantów AK. Mieliśmy swoich członków w Kamieńcu Litewskim, w Horodcu, gdzie działał od 1939 r. wybitny działacz podziemia ojciec Wacław Jaziewicz, najwyższy rangą oficer AK z czasów okupacji niemieckiej. Tadeusz Gogol i wiele innych miejscowości i osób, których nie sposób wymienić. Ks. Jaziewicz, najwyższy nasz autorytet, zakomunikował nam, o pojawieniu się w terenie emisariuszy AK z Polski, którzy przybyli, by organizować chętnych do walki, ponieważ szykuje się powstanie. Zgodziliśmy się na spotkanie z nimi. Pod koniec 1945 r pojechałem z Jankiem Komorowskim do Chutoru, obok Kobrynia, gdzie przywitał mnie osobnik w mundurze polskiego porucznika, który ucieszył się bardzo, że jest nas duża grupa, powiedział, że włączy nas do wspólnego działania. W tym celu musimy złożyć przysięgę. Po tej wizycie Ojciec Jaziewicz odebrał przysięgę ode mnie i kilku innych, którą podpisaliśmy.

Antyradziecką działalność udowadniało nam KGB, które nas aresztowało w 1948 r i dawało nam wyroki wg «zaleceń Lenina, że wroga, który się nie poddaje, należy unicestwić». Ja byłem uznany za głównego organizatora i prowodyra antysowieckiej, białopolskiej organizacji o nazwie «Sojuz Zaszczytnikow Swobody», komendantem Polskiego Okruga A.K. i skazany na karę śmierci, podobnie jak ks.Wacław Jaziewicz, Wiesław Konikiewicz, Janek Komorowski. Powołując się na dekret z 29 maja 1947 r zamieniono nam karę śmierci na 25 lat łagrów z pozbawieniem praw obywatelskich na 5 lat i konfiskatę całego majątku. Proces ten był określony jako proces bandy Stachowicza i jego powierników.



LEONARD KONIKIEWICZ PS. «TOPOLA» O ZWIĄZKU OBROŃCÓW WOLNOŚCI

Wkrótce po wojnie w ZSRR zaszły zmiany w strukturze państwa. Komisariaty zostały przemianowane na ministerstwa, a Armia Czerwona na Armię Sowiecką. Tak więc NKWD zostało MWD, a resort bezpieczeństwa, GUB, stał się niezależnym ministerstwem — MGB (w 1953 r. przemianowane na KGB). SMIERSZ zaś wszedł do II wydziału MGB — jako specjalna komórka kontrwywiadu. Rosnące w prestiż i wpływy MGB stało się nowym narzędziem stalinowskich represji i podjęło długoplanowe i systematyczne tępienie polskości na Kresach.

Zaczęto zamykać polskie szkoły, kościoły i biblioteki. Bogate księgozbiory poszły na przemiał, pomniki zburzono, kler i resztki inteligencji aresztowano i zesłano na Sybir. Niszczono zabytki, historię, język, wiarę, kulturę, tradycje, cmentarze. Zabierano ziemię i domy. Wieści o masowej deportacji Bałtów wzbudziły obawę, że taki sam los oczekuje tych, co nie wyjechali do Polski.

W tej sytuacji, część młodzieży polskiej na Polesiu nie chciała ulec rusyfikacji i dać się zakuć w nowe łańcuchy. W wielu miastach, miasteczkach i wsiach Polesia powstały grupy młodzieżowe do walki z rusyfikacją i przemocą. W 1946 roku Zygmunt Stachowicz, pseudonim «Zmudzin» i autor niniejszej pracy, pseudonim «Topola», zaczęli scalać poszczególne grupy w podziemną organizację Związek Obrońców Wolności, ZOW, z siedzibą w Brześciu, Głównym celem ZOW była walka o zachowanie tożsamości narodowej Polaków, którzy pozostali na sowieckiej Białorusi; o zachowanie języka, wiary, historii, tradycji i poszanowanie praw, zagwarantowanych przez sowiecką konstytucję.

Pierwsi członkowie rekrutowali się spośród uczniów liceów i szkół zawodowych: Ryszard Snarski, pseudonim «Soroka», Maria Furmaniak, pseudonim «Stokrotka», Jeremi Odyński, pseudonim «Babinicz», Natalia Odyńska, pseudonim «Sfinks», oraz wielu innych wymienionych w skorowidzu nazwisk. Do ZOW garnęli się uczniowie ze szkół rosyjskich, młodzi ludzie, którzy już gdzieś pracowali, chłopcy z wiosek polskich, dziewczęta i chłopcy z rodzin kolejarzy, robotników i inteligencji. Wielu było takich, których bliscy zaginęli na wschodzie.

ZOW szybko się rozrastał i w roku 1948 liczył setki członków i sympatyków na całym Polesiu. Najbardziej aktywne komórki ZOW były w Brześciu, Kobryniu, Peliszczach, Baranowiczach, Nieświeżu, Kamieńcu »»»

Zowowcy z księdzem Jerzym Rosiakiem




Marysia Furmaniak ps. „Stokrotka"


Tadeusz Kunachowicz ps. „Stefan"


Regina Jaroszewicz ps. „Rusałka"


Eugeniusz Wojtysiak ps. „Ryś"

»»» Litewskim, Niedźwiedzicy, Rubieżewiczach i innych miejscowościach na Polesiu, gdzie ludzie byli bardziej odizolowani od świata, a najmłodszemu pokoleniu groziło powolne, ale nieuchronne wynarodowienie.

DZIAŁALNOŚĆ ZOW.

Ponieważ Polacy na Białorusi żyli pod czujnym okiem konfidentów i prowokatorów MGB, siłą rzeczy działalność organizacyjna musiała być oparta na mechanizmie konspiracyjnym, na wzór Armii Krajowej. Wobec czujności sowieckiego kontrwywiadu, który automatycznie uważał Polaków zamieszkałych na Kresach za wrogów (My znajem szto wy dumajetie), praca organizacji wyglądała trochę inaczej niż za czasów okupacji. Nie były potrzebne specjalne lokale, skrzynki kontaktowe czy też specjalna łączność. Plany działania, składanie raportów, odbywało się podczas spotkań towarzyskich, w szkołach, a latem na majówkach za miastem lub w parkach. Przygotowaniem krótkich biuletynów informacyjnych z nasłuchów radia Wolna Europa czy też Głosu Ameryki zajmował się Zygmunt Stachowicz. Struktura organizacyjna ZOW była następująca:

1. **Nazwa organizacji:** ZWIĄZEK OBROŃCÓW WOLNOŚCI.
2. **Główny cel organizacji:**

- Walka o zachowanie polskości, godności i praw człowieka oraz obrona przed rusyfikacją Polaków, a także przedstawicieli innych mniejszości narodowych, gdyby wyrazili zgodę na przyłączenie się do ZOW.
- Umacnianie świadomości narodowej wśród tych, którzy nie wyjechali do Polski.
- Propagowanie polskiej kultury, organizowanie kompletów nauczania języka polskiego i historii, ratowanie pomników historycznych przed niszczeniem przez okupanta.
- Organizowanie pomocy osobom zagrożonym represjami ze strony MGB; wysyłanie paczek kolegom i znajomym przebywającym w łagrach (np. rodzinie Szwarcewicz. Józefa Swarcewicz, ps, «Mama», od kwietnia 1944 r. pełniła obowiązki Komendanta Okręgu AK na terenie Polesia. Aresztowana na wiosnę 1946 r. wraz z całą rodziną).
- Przeciwdziałanie skutkom szczucia ludności niepolskiej na Polaków jako tych, którzy rzekomo wprowadzili na Kresach tylko ucisk i wyzysk.

3. **Działalność organizacji:**

- Ze względów bezpieczeństwa ZOW miał charakter tajny, zorganizowany systemem piątkowym, na wzór AK.
- Członkowie składali przysięgę wierności i przyjmowali odpowiednie pseudonimy, którymi posługiwali się w czasie działalności organizacji.
- Zasięg działalności ZOW obejmował Polesie oraz tereny przyległe, na których w ciągu minionych stuleci kwitła polska kultura. Miasto Brześć zostało siedzibą komendy głównej okręgu poleskiego.
- Członkostwo organizacji: do ZOW mogli należeć nie tylko Polacy, ale i Białorusini, którzy chcieli ratować białoruską kulturę przed rusyfikacją.
- Modus operandi organizacji: ZOW odrzucał jakiekolwiek akcje zbrojne jako bezsensowne w danej sytuacji. Natomiast propagował kultywowanie ideałów i sprawności harcerskich, jak również przeszkolenie konspiracyjne i wojskowe na wypadek, gdyby okazały się potrzebne.
- Dowódcą ZOW został Zygmunt Stachowicz, pseudonim «Żmudzin». Jego zastępcami Leonard Konikiewicz, pseudonim «Topola», oraz Ryszard Snarski, pseudonim «Soroka».
- Grupę kobryńską prowadził Janek Komorowski, pseudonim «Kaczor». Przywódcą duchownym całej organizacji był ks. Jezuita Wacław Jaziewicz z Horodca, pseudonim «Żuraw».
- Tekst przysięgi: Ja, , składam przysięgę biorąc Boga na świadka, iż od tej chwili będę walczył za ojczyznę i wiarę dopóki Polska nie będzie wolna od komunizmu i innych wrogów. Tak mi dopomóż Bóg.

- ZOW nie był organizacją wojskową ani paramilitarną. Żadne rozkazy typu wojskowego nikomu wydawane nie były.
- Spotkania odbywały się w domach prywatnych, w parkach lub nad rzeką.

W ciągu kilku następnych miesięcy w samym Brześciu do ZOW wstąpiło 15 osób. Rekrutowanie nie było trudne, gdyż ci chłopcy i dziewczęta już od dawna prowadzili działalność na rzecz zachowania kultury polskiej i chętnie wstępowali do zorganizowanej grupy. Niektórzy nawet nabrali wprawy w różnych dyscyplinach i byli ZOW bardzo pomocni. Np. Jarek Odyński, ps. «Babinicz» jeszcze w czasach okupacji chodził na zwiady, został więc oddelegowany do spraw wywiadowczych. Jego starsza siostra Tala w 1939 r. brała udział w obronie przeciwlotniczej jako harcerka. Obecnie zajęła się przechowywaniem polskich książek z zamykanych bibliotek, dbała o polskie cmentarze oraz utrzymywała kontakt z krajem przez kolejarza Wereszczyńskiego, który przywoził i odwoził listy i przesyłki.

Przy końcu 1947 roku Zygmunt Stachowicz tak podsumował dotychczasową działalność ZOW:

- Zabezpieczenie wielu książek, dokumentów oraz różnych archiwalnych materiałów.
- Pomoc Polakom ściganym i prześladowanym oraz wracającym z zesłania.
- Zbieranie informacji o ruchach wojsk i akcjach MGB od jeńców wojennych i żołnierzy Armii Sowieckiej.
- Oprócz Brześcia i Kobrynia ZOW miał już komórki w Peliszczach, Załuziu, Kamieńcu Litewskim, Horodcu, Baranowiczach, Niedźwiedzicy i Rubieżewiczach.
- Kto należał do ZOW? Młodzież, uczniowie byłej średniej szkoły, uczniowie polskiego pochodzenia ze szkół rosyjskich, chłopcy z wiosek polskich. Wiele z nich straciło bliskich na Syberii.

Na tym zebraniu rozważono również plany działalności ZOW na najbliższą przyszłość. Sytuacja polityczna na Polesiu komplikowała się. Związek Sowiecki był u szczytu potęgi militarnej i mógł bezkarnie prowadzić politykę wewnętrzną według własnego scenariusza. Zaczynał się okres zimnej wojny. Choć Europa drżała ze strachu przed kremlowskimi tyranami, ZOW okazał się ostatnią organizacją wolnościową na Kresach, który odważył się na podjęcie ruchu dysydenckiego w obronie własnej kultury.

Po zdradzie jałtańskiej na terenach zachodniego Polesia wiele osób czuło się opuszczonych i zapomnianych przez rząd londyński (który w tym czasie stracił uznanie sprzymierzonych), osamotnionych i w warunkach maksymalnego zagrożenia. Jak grzyby po deszczu powstawały tajne grupy wolnościowe. Jedni gromadzili broń na wypadek wojny z Zachodem, inni postulowali antyemigracyjne nastawienie, rozumując, że opuszczenie ziemi przodków da sowietom pretekst do ostatecznej aneksji (ci, którzy nie wierzyli w możliwość konfliktu z Zachodem, łudzili się, że ONZ może zmusić Moskwę do ogłoszenia plebiscytu na ziemiach zabużańskich).

Jak już wiemy, na zachodzie Polesia w latach 1946-1947 doszło do scalenia wielu młodzieżowych grup w jedną organizację ZOW. Natomiast w okolicach Kobrynia działała już od kilku lat organizacja podziemna na wzór AK. Przewodził jej Janek Komorowski, ps. «Kaczor», członek «Szańca» z czasów okupacji.

W ramach tej organizacji działał również niejaki Józef Mironiuk, ps. «Mściciel», który obrał sobie za cel okazywanie pomocy akowcom ukrywającym się przed NKWD/MGB. Propagował on również paramilitarne szkolenie członków w celu obrony rodzin i mienia od maruderów, dezerterów, nacjonalistów i innych antypolskich elementów. Idee Mironiuka znalazły posłuch wśród mieszkańców wsi i chutorów, pomnych na niedawne krwawe starcia na Wołyniu z bandami ukraińskich nacjonalistów, szczególnie kiedy na początku 1948 r. sytuacja międzynarodowa zaostrzyła się i powstała możliwość konfliktu między Wschodem i Zachodem. Przez pewien okres ZOW działał jako ZOW i AK Wschód, a członkowie »»»



Romuald Ostromecki
ps. „Komar"



Stefan Trzeciak



Władysław Trzeciak
ps. „Lechit"



Leonarda Majewska
ps. „Promyk"


Stanisław Sielutin ps. „Mnich"


Natalia Odyńska ps. „Sfinks"


Jan Konikiewicz (Edmund Jurkowski)


Zygmunt Stachowicz ps. „Żmudzin"

»»» mogli wybrać przynależność do jednej lub drugiej grupy.

W miarę jak ZOW rozrastał się i rozszerzał działalność, utrzymanie tajności organizacji stawało się coraz trudniejsze, szczególnie w terenie. Grupa Mironiuka, patrolująca tamte okolice, często musiała omijać zasadzki MGB w lasach łub wsiach. Podczas patroli dochodziło do spotkań z oddziałami ukraińskimi i chociaż starć nie było, ruch różnych grup partyzanckich zwrócił uwagę sowieckiego kontrwywiadu. Eugeniusz Wojtysiak, członek ZOW i AK, mówi o tym w swoich wspomnieniach z lat powojennych, kiedy przez jakiś czas ukrywał się przed poborem do Czerwonej Armii.

«NKWD uznało mnie za dezertera i rozesłało za mną listy gończe, a wówczas nie było łatwo się ukrywać. NKWD robiło często zasadzki na dezerterów i ukraińskich nacjonalistów z UPA. Pomógł mi wtedy Mironiuk, ps. «Mściciel».

Przez kilka dni byliśmy w posiadłości Telemana, a później poszliśmy do wsi Borysów, gdzie miał siedzibę Mironiuk. Był to dom na pustkowiu, wokół łąki, bagna i lasy.

Na początku otrzymałem zadanie wywiadowcze. Nocą chodziłem do polskich rodzin, gdzie byli młodzi chłopcy i werbowałem ich do organizacji, gdyż Polaków zamiast do wojska wysyłano do kopalń w Donbasie, gdzie warunki były frontowe. Chodzenie nocą, wśród zasadzek NKWD groziło wpadką. Nieraz tylko cudem udało się nam ominąć bojców zaległych w krzakach. Pani Radzia Teleman oraz Paulina, sierota wychowana u sióstr Urszulanek w Kobryniu, z poświęceniem pracowały jako łączniczki w ZOW.

W maju 1990 roku, po przeszło 40 latach nieobecności odwiedziłem Kobryń. Pierwsze moje kroki skierowałem do kościoła, a właściwie do jego ruin. W parku spotkałem sprzątającą zgarbioną staruszkę. Była to pani Radzia. Warto poznać tę kobietę-patriotkę, żywą historię Kresów Wschodnich. Obecnie mieszka w byłej plebanii naprzeciw kościoła. Wychowała dwóch synów. Jeden jest lekarzem, a drugi księdzem, seminarium skończył w Rydze. Ta rodzina to potomkowie dawnej szlachty zaściankowej o znanych nazwiskach: Błockich, Miłoszów, Jahołkowskich, Kiskiewiczów, Jurkowskich, Grodzickich, Przyłuckich, Ostromeckich, Terpiłowskich, Gronostajskich i wielu innych.

Raz, podczas nocnej wizyty w posiadłości pani Janiny Ilkowskiej, natknęliśmy się na patrol upowców. Weszło do mieszkania kilka osób uzbrojonych w RKM-y i pepesze, przepasani amunicją. Dowódcą grupy był Ukrainiec o nazwisku Wołyniec, z którym uczęszczałem do szkoły powszechnej w Kobryniu. Oświadczył, że mają rozkaz zwalczania wszelkich organizacji podziemnych, w tym polskich, ale nam nic nie grozi, bo jesteśmy dla nich nieszkodliwi, no i zwalczamy tego samego wroga. Później pani Janina wyznała, że obawiała się, aby nas Ukraińcy nie zlikwidowali.

W Kobryniu często bywałem u państwa Trzeciaków, którzy przed wojną mieli młyn i z tego powodu pan Trzeciak siedział w sowieckim więzieniu. Jego syn, Władysław, był łącznikiem-wywiadowcą Związku Obrońców Wolności. Współpracowali z Jankiem Komorowskim, który był rzecznikiem księdza Jaziewicza i pełnił obowiązki w posługach kościelnych oraz przewodził kobryńską grupą ZOW. Dostarczał niezbędnych materiałów, w tym medykamentów dla ukrywających się, będących w podziemiu kolegów. Jego siostra, Regina, pracowała w kobryńskiej aptece wraz z Haliną Terpiłowską, obecnie Ostromecką.

Ale Mironiuk rościł sobie również pretensje do dowodzenia ZOW. Chociaż w czasie wojny dorobił się rangi kaprala w Ludowym Wojsku Polskim, to później podawał się za kapitana AK. W rezultacie, w kobryńskiej grupie wyłoniły się poważne rozbieżności odnośnie dalszej działalności organizacji. Wpływały skargi na brak etyki w postępowanie Mironiuka, co mogło doprowadzić do dekonspiracji. Ostatecznie Mironiuk został usunięty, a organizacja scalona z ZOW pod dowództwem Stachowicza, ps. «Zmudzin».

ARESZTY, ŚLEDZTWO I ZSYŁKA.

Latem 1948 r. okazało się, że w posiadaniu współpracownika Mironiuka, Edwarda Telemana, znajdują się pewne dokumenty ZOW, które należało zniszczyć. MGB dowiedziało się o próbie odebrania tych dokumentów siłą. Teleman zgłosił się do przychodni powiatowej z postrzałową raną, został zatrzymany i odprowadzony do siedziby MGB. Na śledztwie zaplątał się i wskazał na swój najbliższy kontakt – Witka Ignatowicza. Dalsze areszty były już tylko kwestią czasu.

Sam fakt, że na Polesiu działała polska grupa podziemna, mająca na celu zachowanie polskości na odebranych Polsce terenach – została zinterpretowana przez MGB jako ruch wywrotowy i zaalarmowała organy bezpieczeństwa. Republikański zarząd MGB w Mińsku zarządził intensywną akcję kontrwywiadowczą w celu wytropienia «kontrrewolucjonistów». Przywództwo ZOW nie było przygotowane na zapewnienie bezpiecznych kryjówek dla zagrożonych członków. Tylko nieliczni z czołówki ZOW zdołali uniknąć represji. Nastąpiły masowe areszty i śledztwa.

Typowe oskarżenie opierało się na trzech artykułach kryminalnego kodeksu Białorusi (UK BSSR): §63-1 (zdrada ojczyzny); §72 (działania grupowe); §76 (antysowiecka propaganda). Na zakończenie oskarżenia prokurator wojskowy zawołał z patosem, że «ZOW chciał wbić krwawy nóż w plecy Sowieckiej Armii». Członkowie ZOW zostali również oskarżenie o «przynależność do antysowieckiej podziemnej organizacji Armia Krajowa, której celem było oderwanie zachodnich obwodów Białorusi i włączenie ich do Polski» (W jaki sposób kilkaset uczniów szkół licealnych oraz kilkadziesiąt osób starszych, włączając duchownych, miało ten zamiar urzeczywistnić – tego akt oskarżenia nie wyjaśnia).

Tajne rozprawy sądowe odbyły się w dwóch turach (17-20 wrzesień 1948 r. i 12-15 listopad 1948 r.), w sali na drugim piętrze urzędu MGB. Sądził Wojenny Trybunał Wojsk MWD obwodu brzeskiego w składzie: przewodniczący — major Kazarcew; sędziowie: lejtnanci Skaczichina i Merkuriewa; sekretarz: starszy lejtnant Popow; prokurator: kapitan MWD Szadrin; obrona: adwokaci Twierskoj, Wożajewa, Ryłowoj i Bastanowa. Z wyjątkiem kilku osób wszyscy oskarżeni zostali skazani na 25 łat pobytu w ITŁ (poprawcze obozy pracy przymusowej), z pozbawieniem praw obywatelskich na 5 lat po odbyciu kary oraz konfiskatą majątków osobistych.


Kobryń, 1947 r.
Grupa ZOW/AK z ks. Jaziewiczem

Po rozprawie sądowej wszyscy więźniowie zostali wrzuceni do jednej celi, skąd przekazano ich władzom MWD, do więzienia nad Muchawcem, wybudowanego tuż przed wojną przez wojewodę poleskiego, Kostka-Biernackiego. Rutynowo trzymano tam skazańców przez kilka miesięcy, aż do ostatecznego zatwierdzenia wyroku przez wyższe instancje. Podanie o odwołanie wyroku adwokaci składali zaraz po rozprawie. Odpowiedź zwykle nadchodziła po kilku miesiącach, naturalnie odmowna. Były to końcowe formalności, po których skazańców wywożono do lagrów.

Areszty i sądy osób związanych z ZOW przeciągały się aż do roku 1952 i ustały dopiero wraz ze śmiercią Stalina. Należy tu zaznaczyć, że aresztowano tylko najbardziej aktywnych członków i działaczy ZOW. Pomimo długiego i ciężkiego śledztwa nie było wsyp i setki osób ominęły więzienie i łagry.

Ostatni dzień

Jest pod Smoleńskiem sosnowy las
Z nazwą i winą ciężką jak głaz.
Tam mokrym kwietniem żołnierze szli
W ostatnim dniu jenieckich dni.

I może czuli, że sił już brak...
Pytali może – dlaczego tak?!
A może – z wbitym bagnetem w bok,
Szli coraz wolniej – za krokiem krok.

Jeszcze wierzyli – pomoże Bóg...
Czy już wiedzieli, że koniec dróg?
Dostrzegli może ten krwawy dół,
Gasła nadzieja; narastał ból.

Jeszcze marzyli – mieć by tu broń,
Może prosili – nie strzelaj w skroń.
Ściskali może skronie do krwi,
Może najśmielszym nie drgnęły brwi.

Być może nawet myśleli, że...
Że jeszcze...
Nie zginęła –
NIE!

Ryszard Snarski
Brześć n/B

Zostali

Dziewczętom i chłopcom
z Brześcia, Kobrynia i Peliszcz

Nie rzucili kościołów,
Z nieugiętymi jeszcze wieżami.
Strzegli grobów ojców swoich
I epitafium Niemcewicza.
Nie zawiedli Jerzego
Dającego znaki życia z Syberii.
Nie zapomnieli imion
I rowów strzeleckich nad Stochodem.
Nikogo, niczego nie zdradzili
I nie stchórzyli.

Minęły lata...
Czasami jeszcze słyszą,
Gdzieś nad Kresami
Organy Wieśka
I sygnaturkę
Uderzaną siłą młodych serc.

Ryszard Snarski





Poległym na Workucie

Gdzie chmury ołowiane
Beskresną tundrę śnieżą,
Tam nasze polskie dzieci
Pod zmarzłą grudą leżą.

Za wolność swojej ziemi
Polegli pod biegunem
I ziemia im moskiewska
Wieczystym jest całunem.

Tam polskim brzmiąca echem
Piosenka nie doleci.
Im tylko krwawa łuna
Polarną zorzą świeci.

I requiem północy
Wichurą śnieżną dzwoni.
Tam nasi — snem cmentarnym
Śpią towarzysze broni.

Tam mogił ich nie sławi
Żołnierski krzyż brzozowy,
Lecz tylko pal czernieje
Z numerem obozowym.

Jest cały kraj ten wielki
W niewolę wieczną skuty.
Gdzie spojrzeć tam mogiły
Katynia i Workuty...

Lecz kiedy świt wolności
Zabłyśnie wśród tych śniegów.
Staną ich duchy wolne
W zwycięskim dwuszeregu.

Ich głos niepokonany
Zastygłe tundry zbudzi
I zgiętych niewolników
W wolnych przemieni ludzi.

Zygmunt Stachowicz
Ps. «Żmudzin».
Tajszet, 1956 r.

Polakom z Kresów Wschodnich

Gdy w Jałcie przepadły,
Na łaskę Kremla oddane
Miasta stare.
Najwierniejsi zostali,

Nie poddawali się
Gdy padały krzyże
Brześcia, Lwowa
I kresowych cmentarzy.

Nie tracili nadziei
Gdy nie docierały listy ze świata
I szły transporty za Ural.
Myśleli:

Warszawa pamięta,
Dobrym słowem doda otuchy.
Trwali — a babcie resztką sił
Uczyły pacierza,

«Nie rzucira ziemi»
Z księdzem Jerzym śpiewali,
I wierzyli,
Że Bug, polska rzeka,

Będzie do przebycia.
Mijały lata — pół wieku przeszło
I żyją Kresy
Nie tylko w pamięci i snach.



NAJPIĘKNIEJSZA REZYDENCJA POLESIA –

DZIEDZICTWO ZAKONU JEZUITÓW W DUBOJI



Mapa województwa poleskiego, stan przed 1939 r.

HISTORIA POWSTANIA

Duboja (inaczej Duboj, Dubaj, Dubow, biał. Дубае) to obecnie niewielka wieś położona na lewym brzegu rzeki Piny, 20 km na zachód od Pińska, na skrzyżowaniu dawnych szlaków prowadzących z Pińska do Równego (Ровно) na Wołyniu oraz Janowa Poleskiego (obecnie Иваново) i Kobrynia. W źródłach Duboja funkcjonuje od końca XV wieku[1]. Należała do rodziny Karpowiczów, Ogińskich, Radziwiłłów. Czas świetności przypada na około rok 1638 wraz z przyznaczeniem Duboji na letnią rezydencję nowopowstałego zakonu jezuitów. Taką funkcję pełniła do kasaty (rozwiązania) zgromadzenia w 1773 roku, którą zastąpił pałac rodziny Kurzenieckich z pięknym założeniem ogrodowym, który zachował się do naszych czasów.

Z Duboją związanych jest kilka ważnych postaci historycznych. Ciało męczennika, później świętego, Antoniego Boboli, zostało przewiezione do Duboji z Janowa Poleskiego, gdzie został zamęczony przez kozaków, 2 dni po jego śmierci, 8 maja 1657 roku. A stąd «przy modłach ludu» ciało przewieziono do Pińska i pochowano w krypcie pod ołtarzem głównego kościoła Św. Stanisława. W maju 1706 roku zatrzymał się tu król szwedzki Karol XII [2]. Młodzieńcze lata spędził tu Adam Stanisław Naruszewicz, bp smoleński i łucki, poeta, dramaturg i historyk. Jesienią 1784 roku siedzibę tę odwiedził podczas podróży na sejm w Grodnie ostatni monarcha Rzeczypospolitej król Stanisław August Poniatowski. Jak podaje w swoim dzienniku Adam Stanisław Naruszewicz, «...w Duboi król spędził półtora dnia, w tym ważny 7 września, kiedy to przypada dwudziesta rocznica elekcji. Przed bramą dubojskiego dworu został specjalnie zaaranżowany szpaler z jedliny i ustawiona brama tryumfalna. Urządzony wystawny obiad, następnie krótkie polowanie, potem na dziedzińcu szczucie niedźwiedzia, wieczorem iluminację i fajerwerk w ogrodzie przy muzyce. Następnego poranka rocznicę elekcji uświetniono 100 wystrzałami armatnimi, po powinszowaniach wszyscy udali się do kaplicy, w której odprawiono mszę. Po wręczeniu ceremonialnych podarunków król upuścił Duboję, udając się do Pińska.» [3]

W 1773 roku wraz z kasatą zakonu jezuitów cały majątek przeszedł w ręce rodziny Kurzenieckich i należał do niej przez następne trzy pokolenia do roku 1870. Jej przedstawiciel, Ignacy Kurzeniecki, zamienił Duboję w prawdziwą wielkopańską rezydencję. Ignacy Kurzeniecki, działacz polityczny, był elektorem Stanisława Augusta

Poniatowskiego. Jako poseł piński na sejm rozbiorowy 1773-1775 był członkiem opozycji.

Rozplanowanie i urodę Duboi można oglądać na litografii Napoleona Ordy z lat ok. 1856-1870. Ilustruje on frontalny widok pałacu z kaplicą w tle (z kopułą wyolbrzymioną w stosunku do całości). Odziedziczony po jezuitach dwór zamieniono na okazały pałac w stylu klasycystycznym, park przekształcono i zbudowano oranżerię i cieplarnię, a kaplica jezuicka stała się prywatną kaplicą dworską.



Duboje, założenie dworsko-parkowe. Widok dworu i kaplicy od strony frontowej. Napoleon Orda 1873 r.

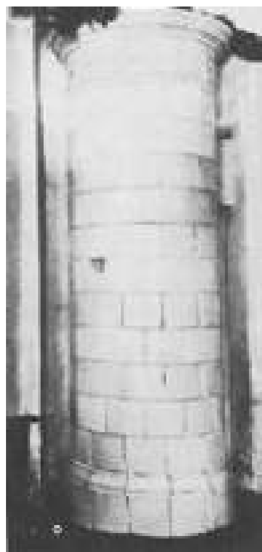
ZAŁOŻENIE DWORKOWO-PARKOWE

W XIX wieku całe założenie dworkowo-parkowe obejmowało około 11 ha i było uważane za jedno z najpiękniejszych na Polesiu. Park założono z licznymi alejkami prowadzonymi prostopadle lub równolegle do bryły dworu. Po stronie wschodniej rozbudowano system stawów, kanałów i grobli. Poza planem parku rozciągały się stawy rybne. Stawy, połączone między sobą kanałami, zasilane były wodą źródlaną, a przez kanały przerzucone były wygięte łukiem drewniane mostki.

Dobre kontakty z Warszawą umożliwiły Kurzenieckiemu zatrudnienie do prac w Duboi znanych architektów i artystów z Warszawy. Parterowy budynek pałacowy został założony na planie wydłużonego prostokąta, z dwukondygnacyjnymi wieżami po bokach. Część środkowa została podwyższona o jedną kondygnację, poprzedzona kolumnowym portykiem z tarasem od frontu, a od elewacji ogrodowej – ryzalitem trójbocznym z portykiem kolumnowym. Z opowieści krewnych ostatnich właścicieli pałacu dowiadujemy się, że



Założenie dworsko-parkowo, stan 2006 r.



Piec z XVIII wieku, lata 20. XX w.

»»» w okresie międzywojennym wnętrze zawierało szesnaście bardzo przestronnych pokoi ze ścianami malowanymi gładko i starymi, dębowymi posadzkami. Na osi budynku w obszernej sieni mieściły się schody prowadzące na piętro. Za sienią na osi w części ryzalitowej znajdowała się dawna sala balowa z wyjściem na zewnątrz do ogrodu. Posiadała dwa wielkie okrągłe piece z białych kafli. Sala ta miała kiedyś ściany pokryte freskami, na ślad których natrafiono podczas restauracji wnętrz po I wojnie światowej. Ciekawym jest fakt, że reprezentacyjne pomieszczenia mieściły się od strony ogrodu, a nie od frontu pałacu.

Na osi dworu wznosiła się główna brama wjazdowa o dwóch wysokich murowanych słupach. Przestrzeń pomiędzy bramą a dworem zajmował ogromny owalny gazon z klombem kwiatowym po środku. W pobliżu domu, przy prawym tylnym narożniku stała domowa kaplica rodziny Kurzenieckich.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku Duboję nabył Karol Jan Szlenkier, bogaty warszawski przedsiębiorca, współwłaściciel fabryki firanek, tiulu i koronek, znanej jako «Szlenker, Wydżga i Weyer»[4]. Podczas I wojny światowej poważnym zniszczeniom uległ majątek, spłonęła również część wsi. Śladem tych działań wojennych jest niewielki cmentarzyk wojenny, znajdujący się w północno-zachodniej części dawnego parku dworskiego. Spoczywają tam żołnierze niemieccy i rosyjscy polegli w latach 1915-1916.

Dawna brama wjazdowa do posiadłości, stan obecny



Po pierwszej wojnie światowej w 1924 roku córka fabrykanta utworzyła fundację opiekuńczo-oświatową, wydzieliła stuhektarowy ośrodek z dworem i parkiem, przeznaczając go na szkołę rolniczą imienia swej przedwcześnie zmarłej córki Janiny. Szkoła w pałacu funkcjonowała do roku 1939. W 1944 roku została wysadzona przez Niemców.

KAPLICA P.W. PODWYŻSZENIA KRZYŻA ŚWIĘTEGO

Osobno na uwagę zasługuje kaplica, pierwotnie p.w. św. Andrzeja Apostoła, a następnie p.w. Podwyższenia Krzyża Św. Kaplica była pierwszym obiektem rzymsko-katolickim w Duboi służąca jako letnia rezydencja pińskich jezuitów, a następnie kaplica dworska. Z dokumentów dotyczących rezydencji pińskich jezuitów można wywnioskować, że siedziba dubojska została urządzona niemalże jednocześnie z kompleksem pińskim w połowie XVII wieku. Była to budowla murowana z cegły z ceglaną kryptą, do której prowadziło wejście z kruchty. Główny korpus (nawa) założony na planie sześcioboku przykryto kopułą z ośmioboczną latarnią. Od frontu (strony zachodniej) przylegał obszerny przedsionek (kruchta), a od wschodu — zakrystia na planie kwadratu. Sześcioboczny plan kaplicy jest unikatowy, bardzo rzadko spotykany na terenie Rzeczypospolitej. Pierwotnie wykorzystywany przez architektów włoskich albo architektów zafascynowanych sztuką włoską[5]. Bryła w całości złożona jest z trzech wyraźnie oddzielonych segmentów, z zaakcentowaną centralną częścią. Zewnętrzne elewacje

ujęte w narożnikach gładkimi pilastrami. Kruchta od frontu zwieńczona trójkątnym szczytem, z owalnym oknem (oculusem) na osi. Wnętrze kaplicy założone na planie koła. Ściany rozczłonkowane pilastrami, stanowią podstawę dla smukłej kopuły. Ściany wnętrza pokrywało malowidła iluzjonistyczne, w tym dwa późnobarokowe ołtarze ŚŚ. Ignacego i Andrzeja Apostoła. Ołtarz główny stanowi drewniana rzeźba Chrystusa Ukrzyżowanego z drugiej połowy XVII wieku [6].

Kolejny właściciel Duboi, Karol Szlenkier, choć był ewangelikiem, wraz z pracami przy modernizacji gospodarstwa i odnowieniu pałacu, podjął próbę odnowienia kaplicy. Jednak ze względu na protest miejscowego duchownego prawosławnego odstąpił od tego zamiaru[7]. Dopiero w okresie międzywojennym na podstawie inwentaryzacji studentów Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej kaplica została odnowiona do 1939 roku. Po II wojnie światowej kaplicę zamknięto. Służyła m.in. jako magazyn, poczta i została przekształcona we wnętrzu. Obecnie ten unikatowy zabytek architektury klasycystycznej jest nieużytkowany. Kaplica wpisana na listę państwowego rejestru historyczno-kulturalnych zabytków Republiki Białoruś i przewidziana jako punkt muzealny przy miejscowym rezerwacie przyrody. »»»


Frontowa fasada dworu, 1938 r.


Ogrodowa fasada dworu, 1938 r.




Pozostałości cmentarza z I wojny światowej na terenie parku, stan obecny

[1] R. Aftanazy, Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej, Tom 2, Ossolineum, Wrocław, 1993, s. 48

[2] Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa brzeskolitewskiego, Tom 3, Międzynarodowe centrum kultury w Krakowie, Kraków, 2016, s. 222

[3] Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa brzeskolitewskiego, Tom 3, Międzynarodowe centrum kultury w Krakowie, Kraków, 2016, s. 222

[4] Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa brzeskolitewskiego, Tom 3, Międzynarodowe centrum kultury w Krakowie, Kraków, 2016, s. 224

[5] Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa brzeskolitewskiego, Tom 3, Międzynarodowe centrum kultury w Krakowie, Kraków, 2016, s. 234

[6] Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa brzeskolitewskiego, Tom 3, Międzynarodowe centrum kultury w Krakowie, Kraków, 2016, s. 230

[7] R. Aftanazy, Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej, Tom 2, Ossolineum, Wrocław, 1993, s. 52


Ołtarz główny, 1939 r.


Widok od strony zachodniej, stan z 2014 r.


Wnętrze kaplicy, stan z 2009 r.




Widok kaplicy, stan obecny

OD «KOŚCIOŁA POLSKIEGO» DO «KOŚCIOŁA POLAKÓW» NA WSCHODZIE



Drodzy Czytelnicy,

Wiosną b.r. w Warszawie odbyła się prezentacja książki autorstwa księdza-profesora Romana Dzwonkowskiego właśnie pod takim tytułem – «Od «Kościoła polskiego» do «Kościoła Polaków» na Wschodzie. Mimo że przez szerszą społeczność i media wydażenie to pozostało praktycznie nie zauważone, dla nas – Polaków na Wschodzie, i nie tylko na Białorusi, znaczenie i wartość tej niewielkiej książki w skromnej oprawie zapewne jest trudno przecenić. Dlatego, że dla zachowania naszej polskiej tożsamości narodowej jest trudno przecenić znaczenie naszej wiary chrześcijańskiej i rolę jaką odgrywa Kościół katolicki w życiu miejscowych Polaków. Dlatego że dla większości z nas Kościół katolicki zawsze był matecznikiem i ostoją polskości, a słowa modlitwy «Ojcze nasz...» były nie raz pierwszymi słowami, wymówionymi po polsku.

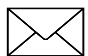
Od szeregu ostatnich lat z goryczą i trwogą obserwujemy, jak z Kościoła katolickiego stopniowo i konsekwentnie eliminuje się język polski, jak systematycznie i konsekwentnie wydala się z kraju pod różnymi pozorami polskich księży. Trzeba by zaznaczyć, że też większość z nas rozumie i aprobuje fakt, że Kościół katolicki ma służyć nie tylko nam – Polakom, lecz także Białorusinom, Ukraińcom oraz wiernym innych narodowości, bo jest Kościołem Chrystusowym. Lecz obserwując ostatnio zachodzącę zmiany w Kościele katolickim u nas w kierunku jego białorutenizacji, wprowadzane odgórnie i wcale przy tym o zgodę wiernych nie pytając, powstaje pytanie – czy ich skala i zasięg są współmierne z ich rzeczywistą potrzebą?

W swojej pracy ksiądź profesor Roman Dzwonkowski zagadnienie to poddaje wszechstronnej i wnikliwej naukowej analizie, stając po stronie naszej polskiej mniejszości narodowej, po stronie prawa nas, Polaków do modlitwy w języku ojczystym, gwarantowanego niby nam przecież i przez władzę i kościelną, i świecką.

Kierując słowa głębokiego szacunku i wdzięczności pod adresem czcigodnego księdza profesora Romana Dzwonkowskiego za jego poświęcenie i trud na rzecz naszej obrony gorąco zapraszamy też naszych drogich Czytelników do lektury tej książki, która dostępna jest w wersji cyfrowej na naszej stronie internetowej www.echapolesia.pl w rubrycę «Książki».

RED.

Szanowna Redakcjo!



Паважаная пані Аліна, добры дзень!
Шчыра віншую Вас з прыгожым зялёным святам нашага дзяцінства і юнацтва – святам Святой Троіцы! Здароўя і поспехаў Вам ва ўсім, усюды і заўжды! Падрыхтаваў Вам на дыску некаторы матэрыял і фота, якія можна выкарыстоўваць. Там ёсць і выдадзеная маім вучнем кніга «Памяць. Лунінецкі раён», у якой ёсць шмат матэрыялаў па гісторыі Лунінца; інфармацыя выкладзена па раздзелах. Яна мае таксама электронны варыянт, даступны ў інтэрнэце. Другія матэрыялы, пры наяўнасці ў Вас часу, можаце прагледзець і карыстацца дома. У любым выпадку Вы дыск атрымаеце!
Мая звышкароткая інфармацыя аб некаторых краязнаўцах Лунінеччыны:

II. Краязнаўства на Лунінеччыне (звышкоратка!)

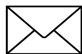


Краязнаўства на Лунінеччыне мае даўнія карані – звыш 100 гадоў. Я не ставіў задачу апісаць яго, паколькі аб гэтым можна напісаць аб'ёмную працу, хачу ўспомніць імёны і прозвішчы некаторых, толькі мне асабіста знаёмых.
У першую чаргу гэта ўраджэнец Лунінца Коласаў Леў Леанідавіч, які жыве ў Мінску і ўсе гады з'яўляецца пазаштатным карэспандэнтам нашай раёнкі, ён піша ў многія газеты і часопісы. Яго бібліяграфія мае тысячы друкаваных нарысаў, эсэ, нататак. Ён аўтар некалькіх кніг, у тым ліку і кнігі: «Вымершие и умирающие профессии». Прафесіянальны філатэліст, вядомы ў Еўропе; даследчык Лунінеччыны 1920-1960гг. XX стагоддзя. Сёння ён самы вядомы краязнаўца нашага краю.
У пасляваенныя гады Георгій Вайндрах, настаўнік гісторыі школы №2 г. Лунінца, пазней выкладчык у педагагічным інстытуце імя А.С. Пушкіна ў г. Брэсце таксама прысвяціў сябе краязнаўству Лунінеччыны.
Мікалай Мікалаевіч Каленковіч, журналіст, пісьменнік, член Саюза пісьменнікаў СССР, аўтар больш за 20 кніг і соцень газетных матэрыялаў. Рана пайшоў з жыцця.
Былы галоўны рэдактар і выдатны журналіст нашай раёнкі, якая, будучы на заслужаным адпачынку, і сёння займаецца вялікай краязнаўчай і пошукавай працай – Таццяна Васільеўна Канапацкая, аўтар кнігі «Памяць» Лунінецкага раёна і пяці дадатковых кніг пасля выхаду кнігі «Памяць».
Вадзім Жылко, прафесіянальны журналіст, былы карэспандэнт раёнкі, сёння намеснік рэдактара газеты «Информ-прогулка». Займаецца краязнаўчай і пошукавай дзейнасцю. Настаўнік-ветэран педагагічнай працы, гісторык, этнограф, паэт і пісьменнік, перакладчык, журналіст – Сцяпан Паўлавіч Нефідовіч, в. Любань. Мае свае кнігі, брашуры і шмат публікацый у газетах і часопісах Рэспублікі Беларусь. Аддае перавагу гісторыі вёсак нашага Лунінецкага раёна. Піша цікавыя мясцовыя этнаграфічныя матэрыялы.
Тумiловіч Васіль Мікалаевіч – настаўнік гісторыі, краязнаўца вёсак Лунінеччыны ад Бога, даследчык Кажан-Гарадка, Дварца, Вічына. Мае шмат брашур, у тым ліку і 2 па вёсках Камянеччыны. Даследуе генеалогію некаторых знакамітых родаў на Лунінеччыне: Шчытоў,

Szanowna Redakcjo!

Радзівілаў.
Настаўніца гімназіі в. Мікашэвічы, Алёна Міхайлаўна Нямчэня, якая з вучнямі падтрымлівае стасункі з некаторымі жыхарамі Мікашэвіч, якія пражываюць у Польшчы.
У гімназіі ёсць невялікі музей Мікашэвіч. Яе падапечныя бяруць актыўны ўдзел ва ўсіх мерапрыемствах краязнаўчага напрамку раённага і абласнога значэння. Неаднойчы яе краязнаўцы займалі першыя месцы ў конкурсах.
Былы дырэктар Чучавіцкай СШ Лунінецкага раёна, гісторык і краязнаўца Яўгеній Пятровіч Хвастоў. Сабраў і падрыхтаваў брашуры па гісторыі і этнаграфіі вёскі Чучавічы, па 150-гадовай гісторыі Чучавіцкай школы, па гісторыі царквы ў в. Вялікія Чучавічы. Гэты спіс можна доўжыць і далей. Адно хачу дадаць, што ўсе настаўнікі гісторыі, літаратуры, геаграфіі і біялогіі ўсіх навучальных устаноў праводзяць вялікую працу па зборы і захаванню слаўнай гісторыі нашага палескага краю – Лунінеччыны. У кожнай школе ёсць невялікія краязнаўчыя музеі і куткі. Самым значным месцам з'яўляецца наш раённы гістарычны музей, дзе сабраны тысячы прадметаў побыту нашых продкаў і экспанатаў, звязаных з гістарычнымі падзеямі. Іменем многіх знакамітых нашых землякоў названы вуліцы і школы.

З павагай,
І.А. Панасюк.
02.06.2017 Лунінец.



З глыбокім жалем пішу Вам аб тым, што не стала вельмі добрага Чалавека, бацькі сваіх сыноў, выдатнага доктара, адзінага ў нашым раёне "Заслужанага доктара Рэспублікі Беларусь", Вашага вернага чытача — Станіслава Станіслававіча Туркоўскага. Ён заўсёды з нецярплівасцю чакаў Ваш часопіс, перачытываў яго па некалькі разоў (аб гэтым ён мне гаварыў у часы нашых сустрэч). Дзяліўся сваімі думкамі аб прачытаным.
Праз два месяцы не стала і яго старэйшага сына Генадзя Станіслававіча, таксама выдатнага доктара, які жыў і працаваў у Мінску. Малодшы — Ігар Станіслававіч, таксама доктар, працуе са сваёй жонкай Жаннай Пранасаўнай у нашай бальніцы, ў г. Лунінцы.
Станіслаў Станіслававіч быў чалавекам незвычайна адукаваным, прафесіяналам у медыцыне, безадказным у дапамозе людзям, спагадлівым да чалавечай бяды. Вельмі любіў успамінаць сваю радзімую вёску Сваятычы на Ляхаўшчыне. Ведаў шмат вершаў на польскай мове і ў перакладзе на беларускую і расейскую мову. Заўсёды ветлівы і абаяльны. Вечная яму памяць ад усіх нас жывых!
Часопіс чытаюць яго сын Ігар і нявестка Жанна. Унучка Ганначка, так ён яе ласкава называў і ганарыўся ёю, вучыцца ў Лінгвістычным універсітэце горада Мінска. Унук старэйшага сына працуе ў ЗША.

З павагай, Iwan Panasjuk
Беларусь. Палессе. Лунінец.
14 красавіка 2017года



Redakcja «Ech Polesia» prosi przyjąć serdeczne wyrazy współczucia Rodzinę oraz bliskich naszego Przyjaciela śp Stanisława Turkowskiego. Pan Stanisław był wieloletnim naszym wiernym czytelnikiem. Urodzony w Swojatyczach, polskiej szlacheckiej wiosce na Ziemi Lachowickiej, był wierny do końca swojej małej ojczyźnie. Zawsze czuł się Polakiem, był nim, nie bał się tego deklarować jak większość ludzi na wyższych stanowiskach w naszym kraju. Był miłośnikiem polskiej kultury, literatury, duchowości, recytował polskie wiersze, kultywował tradycje, dzielił się tą miłością z innymi. Miał w sercu Polskę i swoją małą ojczyznę, pisał o niej artykuły, wspomnienia. Pan Stanisław pozostanie w naszej wdzięcznej pamięci. Ludzie, których kochamy, zostają na zawsze, bo zostawili ślady w naszych sercach.





Szanowna Pani Redaktor!

W lipcu 2016 roku spędziłam urlop w Baranowiczach, gdzie zostałam zaproszona przez Ciocię Czesławę i Ewelinę Wańkowiczówne, cioteczne siostry mojego Tatusia Józefa Nowickiego (siostrzeniec Bronisława). Gdy przebywałam w Baranowiczach, zobaczyłam Echo Polesia, które mnie zauroczyło. Chociaż na Białorusi byłam kilka razy (1957, 1968, 1971 lata), do obecnego pobytu chyba dojrzałam. Wiele rozmów Rodziców i kuzynostwa pozostało w moich wspomnieniach; miałam wielką duchową potrzebę odwiedzenia Lachowicz, Baranowicz, Nieświeża, gdzie spoczywają bliscy z naszych rodzin. Odnaleźliśmy z Włodzimierzem i Marynką jeszcze żyjących naszych kuzynów. Wypełniłam obietnicę daną w 2003 roku w ostatnich chwilach życia mojego Taty i odwiedziłam Kowale koło Lachowicz i inne miejsca na Białorusi, które były we wspomnieniach.
Obecnym pobytem na Białorusi jestem zauroczona. Z młodzieńczych lat zapamiętałam piękne nenufary w okolicy Lachowicz, zasypane śniegiem domy Kowalów i piec w domu moich Dziadków Chmarów w Kowalach nr 2, który i teraz ucieszył moje oczy. Stada wędrujących po łąkach bocianów to chyba więcej, niż widziałam przez całe swoje 70 lat.
Poznałam w czasie pobytu wiele wspaniałych ludzi p. Jadwigę Szustał, panią Danutę (śpiewają w baranowickim «Kraju Rodzinnym») oraz wiele wspierających moje Ciocie osób.
Szanowna Pani Alino, artykuły w Echu Polesia, otworzyły mi oczy na wiele tematów. Jestem członkinią Koła Kresowian, chociaż urodziłam się na Dolnym Śląsku, ale Kresy są dla mnie czymś bliskim, kochanym, miejscem gdzie urodzili się, wychowali, pracowali, bawili się i o nich opowiadali i płakali moi Rodzice, Dziadkowie. Pani Alino, w naszym miasteczku wśród kresowian również wydajemy «Echo» w którym publikujemy wspomnienia kresowian.
Helena Szułkowska
Foto Anna Godunowa

Helena Szułkowska
Foto Anna Godunowa

Foto Anna Godunowa

Gdzież, jak nie w lesie,
na leśnym posłaniu
może tak miękko być?

Stąpasz nogami jak po dywanie,
a gdy usiądziesz — jak na
tapczanie — aż chce się żyć.

Tu pełno głosów mieszkańców
lasu, hukania sowy, gwizdów,
ćwierkania — i woni ziół...

Inaczej mieszczuch, kopciem
pokryty, co psów jedynie słyszy
skowyty — i terkot kół.

A gdy zabłądzisz na brzeg
jeziora, gdzie blaski słońca
srebrzą te wody — i wzdłuż, i
wszerz ...

Stoisz i patrzysz, a dusza
mięknie, bo gdzież tak bywa, tak
jak tu pięknie? ... Tu siedź, lub
leż.

A jakim kwieciem bawi cię łąka?
Gdy patrzysz na to w
promiennym blasku, aż
mrużysz wzrok ...

Gdy bywasz tutaj — przez
wiosnę, lato więc masz dla siebie
te skarby za to — na cały rok.

Na łonie natury i w nurtach
rzeki możesz zostawić
skrzypienie w stawach i miejski
swąd...

Zdejm swe okrycie, zanurz się w
wodzie przy pięknej letniej,
ciepłej pogodzie i płyń pod prąd.

Francieszek Lachocki,
barda Polesia z Prużany